

ALFRED HITCHCOCK

**TAJEMNICA
ZŁOWIESZCZEGO
STRACHA NA WRÓBLE**

PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożyła: MIRA WEBER)

Kilka słów od Alfreda Hitchcocka

Pozdrawiam Was, miłośnicy zagadek!

Po raz kolejny z przyjemnością zrelacjonuję Wam przygody Trzech Detektywów, śmiałych chłopców, których zawsze pociągały tajemnicze sprawy i dziwaczne zdarzenia. Tym razem pospieszyli z pomocą pewnej zrozpaczonej kobiecie. Zachowali się szlachetnie, a w dodatku ryzykowali życie. Musieli się zmierzyć ze złowrogim, gotowym na wszystko straszylem, które ukazywało się o zmroku, i umknąć przed mrówkami o morderczych instynktach.

Jeśli mieliście już okazję poznać Trzech Detektywów, zacznijcie od razu czytać rozdział pierwszy, gdyż tam zaczyna się właściwa historia. Tym z Was, którzy do tej pory nie spotkali tego znakomitego tria, w kilku słowach je przedstawię. Jupiter Jones, nieco otyły przywódca grupy, odznacza się encyklopedyczną pamięcią i niezwykłym talentem do wyciągania logicznych wniosków. Pete'a Crenshawa, Drugiego Detektywa, szybkiego i wysportowanego chłopca, czasem denerwuje nadmierna skłonność Jupitera do pakowania się w kolejne tarapaty. Bob Andrews jest najbardziej z całego zespołu rozmiłowany w nauce i prowadzeniu badań. Jego dociekliwość nieraz bywała pomocna w rozwiązywaniu trudnych zagadek. Wszyscy trzej mieszkają w Rocky Beach, niewielkim kalifornijskim miasteczku nad Pacyfikiem w pobliżu Hollywoodu.

Myślę, że na początek wystarczy tyle informacji. Przygoda czeka na Was!

Alfred Hitchcock

ROZDZIAŁ 1

Atak

- Uwaga! Zaraz się rozbijemy! - wrzasnął Pete Crenshaw.

Półciężarówka ze składu złomu Jonesów zarzuciła na zakręcie polnej drogi, rozległ się pisk hamulców, po czym pojazd wjechał do rowu i zatrzymał się na drzewie, wgniatając przedni zderzak.

- A to pasztet! - powiedział Hans, kierowca ciężarówki, jeden z dwóch braci Bawarczyków zatrudnionych w składzie złomu. Przez chwilę siedział jak przykuty do fotela i oddychał głęboko. - A to pasztet - powtórzył.

Zatroskany popatrzył na swoich młodych pasażerów. Jupiter, towarzyszący Hansowi w kabinie kierowcy, trząśnięty całym, ale nic mu się nie stało. Pete Crenshaw i Bob Andrews jechali z tyłu na odkrytej platformie. W momencie kraksy kurczowo chwycili dłońmi burtę półciężarówki, a stopami zaparli się o podłogę, by siła uderzenia nie wyrzuciła ich na zewnątrz. Nadal trwali w tej samej pozycji.

- Cali i zdrowi? - spytał Hans.

Chłopcy pokiwali głowami i zwolnili uchwyt. Poczuli, że z wysiłku zdrętwiały im mięśnie.

Powoli wszyscy wysiedli i zaczęli oglądać uszkodzenia. Hans z konsternacją wpatrywał się w sflaczałą przednią oponę. Pękła w czasie jazdy, samochód przechylił się na krętej górskiej drodze, po czym wylądował w rowie.

- A to pasztet - odezwał się po raz trzeci Hans. - Nie sądziłem, że jadę tak szybko.

- Dasz radę wydostać samochód z rowu? - spytał Jupiter.

Hans raczej wątpił, by udała mu się ta sztuka, usiadł jednak znowu za kierownicą, przekręcił kluczyk w stacyjce, wrzucił odpowiedni bieg i spojrzał przez ramię. Tylne koła ciężarówki kręciły się w miejscu, więc zgasił silnik i wysiadł.

- Jesteśmy uziemieni - oznajmił. - Jupe, musimy zadzwonić do twojego wuja i poprosić, by przyjechał drugą ciężarówką i wyciągnął nas z rowu. Dopiero wtedy będę mógł zmienić koło.

- Świetny pomysł! - zawołał Pete. - Tylko skąd weźmiemy telefon?

Rozejrzeli się po bezludnej okolicy. Dwadzieścia minut temu wyjechali z Rocky Beach, kierując się ku chacie w górach Santa Monica. Mieszkał tam pewien człowiek, który zamierzał wrócić w rodzinne strony, do stanu Indiana, i chciał się przedtem pozbyć

nieruchomości.

- Niektórzy ludzie ze wzgórz posiadają ciekawe rzeczy - powiedział wuj Tytus po telefonicznej rozmowie z właścicielem chaty. - Jupiterze, poproś Hansa lub Konrada, aby cię tam podwiózł. Zorientujecie się, co nasz kupiec ma do sprzedania. Chwalił się, że posiada mosiężne łóżko. Byłbym nim zainteresowany. Wybierzcie również inne sprzęty, które waszym zdaniem można będzie odsprzedać.

- Tylko żadnych dziwactw, błagam - wtrąciła się ciotka Matylda.

Żona wuja Tytusa zawsze się złościła, kiedy mąż wracał do domu ze zdobyczami, na widok których ogarniały ją wątpliwości, czy ktokolwiek zechce je kupić. Jej obawy były jednak bezpodstawne. Miłośnicy dziwacznych przedmiotów z całego wybrzeża Pacyfiku doskonale znali skład złomu Jonesów i często tam zaglądali, wiedząc, że nigdzie indziej nie zdobędą poszukiwanych ciekawostek. Dzięki temu nawet najbardziej ekstrawagancka rzecz znajdowała w końcu nowego właściciela.

Jupiter poczuł przyjemne podniecenie na myśl, że będzie mógł na własną rękę dokonać zakupów, gdyż dotąd wuj Tytus robił je osobiście. Chłopiec szybko zadzwonił do przyjaciół, Boba i Pete'a, a potem w trójkę poszli szukać pomocników wuja, Hansa i jego brata Konrada. W niecałe pół godziny mniejsza półciężarówka była gotowa do drogi.

Hans opuścił Rocky Beach i zmierzał na północ; początkowo jechał nadbrzeżną szosą, potem skręcił w Dębowy Kanion, szeroką, porządnie brukowaną drogę, która pięła się w górę zbocza i opadała po drugiej stronie, prowadząc do doliny San Fernando. Przejechał Kanionem około dziesięciu kilometrów i skierował ciężarówkę w prawo, na wąski ubity trakt o nazwie Skalisty Brzeg, gdzie wkrótce strzeliła mu opona.

- Wygląda na to, że jednak nie pobawię się w zakupy - westchnął Jupiter. - Będziemy się musieli związać z powrotem do Rocky Beach.

Ponurym spojrzeniem obrzucił krzaczaste zarośla, porastające okoliczne wzgórza. Po lewej stronie, tuż powyżej drogi, tkwił przyklejony do zbocza stary dom. Wszystkie nawałnice, jakie nawiedziły te strony od dnia, gdy został wybudowany, zostawiły na nim swoje ślady. Dom najwyraźniej od dawna stał opuszczony. Dolne okna zabite były deskami, w wielu górnych brakowało szyb.

- Na pewno nie ma tam telefonu - powiedział Pete.

- Spójrzcie! - Bob wskazał wzniesienie za starym domem. W pobliżu wierzchołka rosła kolonia eukaliptusów, sponad których wystawał kawałek dachu pokrytego czerwoną dachówką. - Jakiś spory budynek. Pewnie stoi frontem do Dębowego Kanionu.

- Chyba nie będziemy musieli zapuszczać się aż tak daleko - wyraził nadzieję Jupiter.

- Widzicie tę starą stodołę, usytuowaną w połowie zbocza? Prowadzą do niej przewody telefoniczne. Prawdopodobnie ktoś tam mieszka i jeśli pójdziemy na skróty przez pole kukurydzy...

Zamilkł; na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

- O co chodzi? - spytał Bob.

- O kukurydzę. - Pierwszy Detektyw oparł się o płot, który odgradzał pole od drogi, i zdumiony wpatrywał się przed siebie. - Czy ktokolwiek słyszał o jej uprawach w środku gór Santa Monica?

Wysokie źdźbła zboża, rosnącego na niewielkim pólku obok drogi, zieleniły się w promieniach gorącego sierpniowego słońca. Jupiter patrzył na pełne kłosa i czarną ziemię, z której wyrastały rośliny. Ktoś musiał się zdrowo napracować, by ją nawodnić. Pole usytuowane było na zboczu, pnącym się ostro w górę już od samej drogi; w jego szczytowej partii tkwił nasadzony na płot strach na wróble. Wpatrywał się w chłopców czarnymi trójkącikami oczu, przyczepionych do głowy z jutowego worka.

- Ktoś wybrał sobie dziwne miejsce na farmę - stwierdził Jupiter.

- Tym lepiej dla nas - zauważył Bob. - Zaraz będziemy mogli zatelefonować. Ruszajmy już.

- Może lepiej nie wszyscy - zasugerował Jupiter. - Jeśli gospodarz zobaczy takie stado, buszujące w jego zbożu, z pewnością się zirytuje.

Pete usiadł na ziemi i oparł się o płot.

- Dobrze - zgodził się. - Proponuję, żeby Jupe tam poszedł. Powinien się trochę poruszać.

Pierwszy Detektyw skrzywił się z niechęcią. Miał nadwagę i nie lubił, gdy ktokolwiek mu o tym przypominał.

- Decydujcie się szybciej - ponaglił Hans.

- Dobrze już, dobrze - odparł Jupiter.

Przewinął się przez ogrodzenie i ruszył między łanami zboża, które sięgało mu niemal do czubka głowy. Świadomy, że uprawy kukurydzy są niezwykle rzadkością w tych górach, poruszał się bardzo ostrożnie, choć niezbyt cicho. Łany szeleściły, gdy ciężko dysząc, rozgarniał je rękami. Zbocze stawało się coraz bardziej strome, więc chłopiec pochylił się, by kontynuować wspinaczkę.

Na chwilę uniósł głowę i poprzez źdźbła zboża ponownie dostrzegł stracha na wróble. Był już teraz na tyle blisko, by wyraźnie zobaczyć jego twarz. Jupiter odniósł wrażenie, że straszycie się uśmiecha się krzywo.

- Jeszcze tylko parę metrów - powiedział chłopiec sam do siebie - i wyjdę na otwartą przestrzeń.

Zaczął prostować kark, gdy nagle coś wielkiego i ciemnego zważyło się na niego z góry.

- Przekłeta szmato! - wrzasnął ktoś cienkim, pełnym furii głosem. - Zaraz cię załatwię!

Napastnik wpadł na Jupitera i zaczął go walić po plecach. W chwilę później Pierwszy Detektyw leżał wśród połamanych źdźbeł kukurydzy, a nad nim klęczał rozwścieczony mężczyzna o dzikim spojrzeniu i ręką ścisnął mu gardło, jakby chciał wydusić z chłopca resztki życia. Drugą dłoń miał uniesioną. Trzymał w niej poszarpany skalny odłamek.

ROZDZIAŁ 2

Miłośnik owadów

- Proszę, nie... - zacharczał Jupiter.

Mężczyzna przestał dusić chłopca i popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Ty... ty jesteś dzieckiem! - zawołał.

Napastnik i jego ofiara usłyszeli w tym momencie trzask łamanych żdźbeł i odgłos kroków na miękkiej ziemi. Po chwili na tle nieba ukazała się potężna sylwetka Hansa. Na ten widok Jupitera ogarnęło błogie poczucie bezpieczeństwa.

- Łapy precz od chłopaka, kanalio! - zawołał krzepki Bawarczyk. Uniósł mężczyznę do góry i cisnął go na bok jak szmatę, tak że nieszczęśnik potoczył się nieco w dół zbocza. - Rozerwę cię na kawałki! - zagroził.

Jupiter podniósł się powoli. Zobaczył, że człowiek, który go zaatakował, mrużąc oczy wpatruje się w Hansa. Pewnie jest krótkowidzem, pomyślał chłopiec, ponieważ mężczyzna po omacku przeszukiwał ziemię dookoła siebie.

- Zgubiłem okulary - zajęczał żałośnie.

Z dołu od strony drogi nadbiegali już Bob i Pete. Bob zatrzymał się i podniósł parę okularów o grubych soczewkach. Podał je właścicielowi, który wytarł szkła o koszulę, włożył okulary na nos, a potem wstał i otrzepał z ziemi dzinsy.

- Co panu odbiło? - dopytywał się Hans. - Tylko wariat napada na dziecko.

- Bardzo mi przykro - odparł sucho mężczyzna. Najwyraźniej nie lubił przyznawać się do błędów. - Naprawdę mi przykro, ale wziąłem chłopca za stracha na wróble i...

Przerwał i popatrzył na tkwiące na płocie krzywo uśmiechnięte straszdyło.

- To znaczy... chciałem powiedzieć... obcy nieustannie wchodzili na nasz teren, tratowali kukurydzę i... i w ogóle mieliśmy z nimi masę kłopotów. Może dlatego zbyt ostro zareagowałem, kiedy zobaczyłem, że znowu ktoś wspina się na wzgórze.

Zamilkł na chwilę i zza grubych szkieł okularów popatrzył na rozmówców wyblakłymi oczkami. Promienie słońca odbijały się od czubka jego łysej głowy. Był niewysoki, niewiele wyższy od Jupitera, zdecydowanie szczupły, choć muskularny. Zapewne dużo ćwiczył. Opalona skóra świadczyła o tym, że spędzał wiele godzin na świeżym powietrzu. Zdaniem Jupe'a mógł mieć około czterdziestu lat.

- Nie uderzyłbym cię tym odłamkiem - zwrócił się do chłopca. - Chciałem po prostu zobaczyć, kim jesteś.

- Myślał pan, że strachem na wróble - powiedział Jupiter.

- Bzdura. Musiałeś mnie źle zrozumieć. Teraz bądź uprzejmy mi powiedzieć, co właściwie porabiasz na moim polu?

Jupiter aż zamrugał powiekami, widząc, jak szybko mężczyzna zmienił taktykę i znowu przeszedł do ataku.

- Złapaliśmy gumę na Skalistym Brzegu, a potem wpadliśmy do rowu - wyjaśnił. - Zobaczyłem przewody telefoniczne, które biegły w stronę stodoły, ruszyłem więc do niej na skróty. Chciałem się dowiedzieć, czy mógłbym zatelefonować do wuja i prosić go, by przyjechał i wybawił nas z opresji.

- Rozumiem. No cóż, przykro mi, że cię zaatakowałem. Oczywiście, że możesz skorzystać z telefonu.

Łysy mężczyzna odwrócił się i przecinając pastwisko, zaczął się wspinać na wzgórze w stronę czerwonej stodoły. Chłopcy i Hans poszli za nim. Kiedy dotarli na miejsce, mężczyzna otworzył wrota, włączył umieszczone pod sufitem lampy odblaskowe i gestem zaprosił gości do środka.

W ogromnym budynku nie było śladu zwierząt ani maszyn rolniczych. Zamiast tego znajdował się tam olbrzymi stół, a na nim poustawiane w jakimś zdyscyplinowanym nieładzie dziwne urządzenia. Zanim Jupiter zdołał im się przyjrzeć dokładniej, gospodarz budynku zaprowadził go do ustawionego pod ścianą biurka.

- Możesz dzwonić. Tu jest telefon. - Wskazał aparat na wpół przykryty stosem książek i notatników, zalegających blat.

Kiedy Jupiter rozmawiał z domownikami, Bob, Pete i Hans rozglądali się wokół ze zdziwieniem. Na długim stole w pobliżu wejścia zauważyli kilka drewnianych kwadratowych ramek o bokach długości około trzydziestu centymetrów. Z jednej strony ktoś przybił do nich kawałek płótna o ścisłym splocie, z drugiej umocował szklane szybki. Wyglądały jak ramki przeznaczone do eksponowania rozmaitych kolekcji, ale były puste. Na jedną z ramek skierowany był przymontowany do ruchomego statywu aparat fotograficzny.

Na drugim stole stało kilka szklanych słoików. Bob zajrzał do któregoś z nich i zobaczył wewnątrz coś, co przypominało strzępki mchu. Po chwili ze zdumieniem stwierdził, że to wcale nie mech, tylko żywy łańcuch złożony z mrówek, brązowych, długonogich owadów, przyczepionych jeden do drugiego odnóżami i szczękami. Bob przyglądał im się z mieszaniną fascynacji i obrzydzenia.

Jupiter odłożył słuchawkę.

- Wszystko załatwione - oznajmił. - Wuj Tytus w ciągu pół godziny dotrze do

Skalistego Brzegu i spotka się z nami.

- Doskonale - powiedział gospodarz.

Już zamierzał wyprowadzić gości na zewnątrz, ale zatrzymało go zdziwione spojrzenie Boba.

- Czyżby pan zbierał mrówki? - spytał chłopiec.

- Tak, zbieram je - odparł mężczyzna. Po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiały jakieś cieplejsze nuty. - Ale to nie wszystko. Obserwuję również te owady i zapisuję, co robią. Potem przewiduję ich następne ruchy. Nadal je obserwuję i upewniam się, czy miałem rację.

- To znaczy, że jest pan entomologiem - powiedział Jupiter.

Łysy mężczyzna uśmiechnął się przychylnie do niego.

- Niewielu chłopców w twoim wieku zna to słowo.

- Jupe dużo czyta - wyjaśnił Pete. - Często nie rozumiemy połowy tego, co do nas mówi. Jak on pana nazwał? Etmolo... ento-to...?

- Entomologiem - odparł mężczyzna. - Entomologia to dział zoologii zajmujący się owadami i ja właśnie jestem takim owadoznawcą. Nazywam się Woolley, doktor Charles Woolley. Napisałem wiele książek o wojowniczych mrówkach. Teraz pracuję nad kolejną, ale jeszcze nie znam zakończenia.

Woolley uśmiechnął się szeroko i Jupiter pomyślał, że ten człowiek potrafi być sympatyczny, jeśli tylko chce. Zauważył, że głowa doktora jest zbyt wielka w stosunku do jego drobnego ciała, a oczy ukryte za grubymi szklami okularów nieco wyłupiaste. Z łysą czaszką i szpiczastym podbródkiem naukowiec bardzo przypominał mrówkę. Jupiter wpatrywał się w jego czoło, jakby oczekiwał, że wyrosną z niego czułki.

Woolley chyba zauważył spojrzenie chłopca, bo dotknął dłonią głowy i spytał:

- Czemu tak na mnie patrzysz? Mam coś na twarzy?

- Nie, skądże. Myślałem po prostu o pańskiej książce. Skoro nie zna pan jej zakończenia, to znaczy, że pańskie badania są w toku. W tej stodole ma pan laboratorium, prawda?

- Cały stok jest moim laboratorium - odparł Woolley. - W stodole prowadzę specjalne badania. W ramkach, które pewnie zauważyliście, umieszczam mrówki, żeby je sfotografować. Aparat przymocowany ponad stołem ma powiększające soczewki. W rogu stodoły zbudowałem ciemnię. Mrówki ulokowane w dzbanach zebrałem z kolonii, która mieszka w cieplarni za stodołą. To znaczy, mieszka tam teraz, bo wkrótce owady mogą się przenieść gdzie indziej. Właśnie się zbierają, żeby to zrobić.

- Czy wtedy pozna pan zakończenie swojej książki? - spytał Bob. - Dokąd te mrówki

pójdą?

- Pewnie niezbyt daleko - odparł Woolley. - Może na szczyt wzgórza, w pobliże dużego domu. Ponieważ są to wojownicze mrówki, miejsce ich postoju nazywamy obozem. Mrówki są bardzo podobne do pszczół. Najważniejszym osobnikiem w kolonii jest królowa. Kiedy zbliża się termin, w którym ma złożyć jaja, jej ciało nabrzmiwa i królowa nie może się poruszać, więc cała kolonia zatrzymuje się w jednym miejscu, z którego mrówki robotnice każdego dnia udają się na poszukiwanie pożywienia. Po złożeniu jaj królowa wraca do normy i odzyskuje sprawność fizyczną. W tym momencie jej podwładni są gotowi do zmiany miejsca pobytu. Odkąd się tu pojawiłem, kolonia zamieszkująca cieplarnię przenosiła się już kilka razy. Pochód tysięcy wojowniczych mrówek to naprawdę imponujący widok. Jupiter zmarszczył czoło.

- Nie wiedziałem, że mrówki Dorylinae, bo taka jest łacińska nazwa tego podrzędu - wyjaśnił kolegom - żyją w naszym kraju. Czytałem w horrorach o drapieżnych mrówkach afrykańskich. Czy te owady naprawdę potrafią opanować wioskę i zjeść wszystko, co napotkają na drodze, włącznie z dużymi zwierzętami?

Woolley radośnie pokiwał głową.

- Absolutnie wszystko - odparł. - Większość mrówek to wegetarianie, ale wojownicze mrówki Dorylinae są mięsożerne. Afrykańczycy nazywają je "najeźdźcami". Uciekają, gdy kolonia tych owadów rusza w ich strony. Mrówki z łatwością mogą zjeść człowieka i czasem to robią!

Pete zadrżał, lecz Woolley z entuzjazmem kontynuował opowieść, niewzruszony przeraźliwym obrazem, który malował.

- Ci mali, żarłocni drapieżnicy bywają również pożyteczni. Zjadają szczury, stonogi i inne paskudztwa. Kiedy Afrykanie wracają do wiosek, przez które przeszła armia mrówek, zastają domy wyczyszczone z wszelkich szkodników.

Wojownicze mrówki z naszego kontynentu nie są tak okrutne jak ich afrykańscy krewni. Czasem jedzą małe zwierzęta, lecz głównie żywią się innymi owadami. Nawet nie przypuszczacie, na jak rozległych terenach żyją. Jeden z gatunków opanował Panamę i Meksyk, inny Stany Zjednoczone, gdzie zajmuje obszar na południe od czterdziestego piątego równoleżnika.

No i są mrówki, występujące na tym stoku. Mają dłuższe odnóża i grubsze pancerze niż owady poprzednio widywane w tych okolicach.

Woolley przerwał na chwilę, w jego oczach zalśniło podniecenie.

- Chcecie zobaczyć coś niesamowitego? - spytał.

Nie czekając na odpowiedź, otworzył wrota stodoły i wyszedł. Hans i chłopcy ruszyli w ślad za nim.

- To jest ziemia Chestera Radforda - wyjaśnił Woolley. - Być może słyszeliście o nim. Człowiek bardzo bogaty i przy tym hojny. Wspiera wiele naukowych badań. Zeszłej wiosny wędrowałem po okolicznych wzgórzach i wtedy spostrzegłem jakąś dziwną odmianę wojowniczych mrówek. Dowiedziałem się, że posiadłość, którą sobie wybrały, należy do Chestera Radforda. Pan Radford mieszka za granicą, ale udało mi się z nim skontaktować. Pozwolił mi tu zamieszkać i pracować w stodole. Przyznał mi również dotację z Fundacji Radforda na Rzecz Rozwoju Nauk Przyrodniczych, dzięki czemu mogę prowadzić badania.

Woolley zatrzymał się przed niewielką cieplarnią, stojącą w bardzo zaniedbanym otoczeniu, i pchnął skrzypiące drzwi.

- Oto kolonia wojowniczych mrówek!

Charles Woolley przyklęknął i wskazał ciemną, baniastą bryłę, która zwisała spod stołu. Poruszyła się lekko pod wpływem podmuchu powietrza, płynącego z otwartych drzwi. Jakby ktoś dmuchnął w futro, pomyślał Jupiter. Bryłę stanowiły kotłujące się mrówki, poprzyczepiane jedna do drugiej.

- Tfu, ale paskudztwo. - Pete wzdrygnął się z obrzydzenia.

- Fascynujące, prawda? - zachwycił się Woolley. - I zupełnie niepodobne do innych drapieżnych mrówek, które widziałem. Pewnie nowy podgatunek, jakiś mutant. Szukam odpowiedzi na pytania, od jak dawna tu są, skąd przyszły i dokąd się udadzą.

Hans popatrzył z obawą na masę niewielkich stworzonek.

- Lepiej już chodźmy - zaproponował. - Pan Jones może się zjawić lada moment.

Opuścił cieplarnię, a po chwili to samo zrobili chłopcy. Idąc skrajem pola, przedzierali się przez krzaki, porastające wzgórze, i kierowali w stronę Skalistego Brzegu. Jupiter raz się obejrzał. Woolley stał obok płotu, ogradzającego pole kukurydzy, i patrzył w ślad za swoimi niedawnymi gośćmi. Strach na wróble również zdawał się ich obserwować pustym spojrzeniem trójkątnych oczek. Uśmiechał się przy tym groźnie.

- Dziwny facet - stwierdził Pete. - Naprawdę ma kota na punkcie mrówek.

- To mogę zrozumieć - powiedział Jupiter. - Bardziej zastanawia mnie fakt, dlaczego poważny naukowiec wziął mnie za ożywionego stracha na wróble!

ROZDZIAŁ 3

Nieznajomi wkraczają do akcji

Wiem tylko, że stąd jest prawie dziesięć kilometrów do skrętu w Skalisty Brzeg, a droga prowadzi głównie pod górę - powiedział Pete. - Jaki jest sens pedałować tam w takim skwarze jedynie po to, by jeszcze raz popatrzeć na stracha na wróble?

Rozmowa miała miejsce kilka godzin po przygodzie, która spotkała chłopców w posiadłości Radforda. Jupiter, Pete i Bob siedzieli w boksie w kawiarni "Nadmorska" i zajadając lody, omawiali poranne zdarzenia. Jupe właśnie poinformował kolegów, że wymigał się od kolejnej wyprawy po zakupy w górskiej chacie, ponieważ wolałby wrócić na dziwne pole. Pete i Bob przyjęli zmianę planów z umiarkowanym entuzjazmem.

- Naprawdę nie dręczy was ciekawość? - spytał z wyrzutem Pierwszy Detektyw. - Nie chcecie bliżej poznać złowieszczygo stracha na wróble?

- To tylko kłáb starych gałganów, a nie żaden złowieszczy strach - stwierdził lekceważąco Pete.

- No dobrze, to dlaczego Charles Woolley sądził, że zobaczył na wzgórzu żywego stracha na wróble? - dopytywał się Jupiter. - Dlaczego mnie zaatakował?

- Moim zdaniem doszukujesz się wielkiej tajemnicy tam, gdzie jej nie ma - powiedział Bob. - Woolley po prostu zezłościł się, i tyle.

Jupiter potrząsnął głową.

- To mało przekonujące wyjaśnienie - odparł. - Incydent był zbyt błahy, by mężczyzna aż tak się zdenerwował. Kto by tam naprawdę dostawał szału z powodu kilku przechodniów, których przyłapał na własnym terenie? Woolley trzymał w ręku skalny odłamek. Gdyby mnie uderzył, mógłby mi złamać szczękę. Poza tym nie zrobił na mnie wrażenia furiata. Kiedy się zorientował, z kim ma do czynienia, natychmiast się uspokoił. Był taki wściekły tylko wówczas, gdy myślał, że jestem strachem na wróble. Przypomnijcie sobie, że nazwał mnie przeklętą szmatą! Dostyc dziwne określenie. Gdyby nawymyślał mi od intruzów czy złodziei, nie zwróciłbym na to większej uwagi. Potem, kiedy mnie przeproszał za napaść, wyjaśnił, że wziął mnie za stracha na wróble.

- Jesteś za gruby na stracha - zachichotał Pete.

Przy kontuarze, który biegł wzdłuż jednego z boków kawiarni, siedział młody mężczyzna, ubrany w ciemne spodnie oraz koszulę z krótkimi rękawami, i popijał kawę. Po ostatnich słowach Pete'a odwrócił się w stronę sali i popatrzył na Jupitera.

- Jesteś również zbyt muskularny i za niski - uzupełnił.

Trzej chłopcy ze zdumieniem spojrzeli na nieznajomego. Mężczyzna chwycił filiżankę z kawą i podszedł do ich stolika. Pete przesunął się, by zrobić mu miejsce w boksie.

- Mam nadzieję, że mówicie o tym strachu z Dębowego Kanionu - powiedział nieznajomy. - Tym, który spaceruje wokół posiadłości Radforda. Nie zniósłbym, gdyby na świecie było więcej wędrujących strachów na wróble!

- Naprawdę pan uważa, że on może chodzić? - spytał Jupe.

Mężczyzna pokiwał głową. Był uradowany, że udało mu się wywołać sensację.

- Widziałem go - powiedział. - Nazywam się Larry Conklin. Pracuję dla firmy, która produkuje, instaluje i konserwuje urządzenia antywłamaniowe. Zainstalowaliśmy takie urządzenie w Muzeum Mosby'ego przy Dębowym Kanionie.

- Znam to miejsce. - Jupiter pokiwał głową.

- Fantastyczne, prawda? - zauważył Larry Conklin. - Słyszałem, że stary milioner Mosby, który wybudował ten dom, pragnął, aby był on potężniejszy niż forteca. Miał rację. To przecież prawdziwa galeria malarstwa. Wiszą tam obrazy mistrzów z całego świata. Co najmniej raz w tygodniu sprawdzamy, czy nasz wspinały system alarmowy działa bez zarzutu.

- Ale co z tym strachem na wróble? - chciał wiedzieć Jupiter.

- Ach, prawda. Pewnego wieczoru, mniej więcej tydzień temu, skontrolowałem urządzenie alarmowe w muzeum i kiedy wsiadałem już do samochodu, by wracać do miasta, zobaczyłem stracha na wróble. Przemykał obok domu Radforda, który znajduje się na wzgórzu dokładnie po drugiej stronie drogi. Strach mignął mi jedynie przez chwilę, gdyż zbiegł na dół i zniknął.

Larry Conklin zamilkł; powoli sączył kawę.

- I co dalej? - dopytywał się Jupiter.

- Nic - odparł Conklin. - Pomyślałem, że coś mi się przywidziało. Było ciemno i wzrok mógł mi spleść figla. Stałem nieruchomo i próbowałem odtworzyć w myślach całą scenę. No dobrze, powiedzmy, że widziałem żywego stracha na wróble. To jeszcze nie powód, by dzwonić do drzwi muzeum i wszystkim o tym rozpowiadać. Ludzie pomyśleliby, że mam nie po kolei w głowie.

- No jasne - wtrącił się Pete.

- Ucieszyłem się więc, gdy usłyszałem waszą rozmowę - zakończył Conklin i spojrzął na Jupitera. - Czyli ktoś wziął ciebie za stracha na wróble, tak? Wcale nie jesteś do niego podobny.

- Szedłem przez pole kukurydzy i człowiek, który się pomylił, nie widział mnie dokładnie.

- Oczywiście - mruknął Conklin.

- Jak wyglądał pański strach na wróble? - spytał Bob.

Conklin z namysłem zmarszczył czoło.

- No cóż, był średniego wzrostu. Metr siedemdziesiąt, może siedemdziesiąt pięć. Szczupły. Ubrany w czarny kapelusz i jasną kurtkę. Nie rozpoznałbym rysów twarzy; jawiła mi się jako jedna plama. Z rękawów wystawała mu słoma. Po tym poznałem, że to strach na wróble.

Conklin dokończył pić kawę i wstał.

- Nie wtykam nosa w nie swoje sprawy i wam również radzę tego nie robić. Coś mnie niepokoi w tej historii. Lepiej po prostu zapomnieć o wszystkim.

Chłopcy nic na to nie odpowiedzieli. Conklin opuścił kawiarnię.

Jupiter z figlarnym błyskiem w oku popatrzył na przyjaciół.

- Naprawdę chcecie zapomnieć o całej sprawie?

- Jasne. Ale i tak nam na to nie pozwolisz - domyślił się Pete. - Dlatego się zbierajmy.

Czeka nas długa jazda na pole na wzgórzu.

Chłopcy wydostali rowery ze stojaków przed kawiarnią i po chwili jechali na północ nadbrzeżną szosą. Potem skręcili w Dębowy Kanion, mozolnie pokonując coraz bardziej stromą drogę. Pete pierwszy dotarł do miejsca, w którym szlak się rozwidłał, więc zatrzymał się, by poczekać na przyjaciół.

- Czy wybierzemy skrót przez pole, tak jak rano? - spytał, gdy Jupiter i Bob dołączyli do niego.

- Wolałbym już dziś nie denerwować więcej doktora Woolleya - odparł Pierwszy Detektyw. - Popatrzcie, czy ta dróżka, przecinająca posiadłość Radforda, nie doprowadza przypadkiem do pola kukurydzy?

- Jeśli pójdziemy dróżką, możemy prawie tak samo zirytować doktora Woolleya, jakbyśmy łazili po polu - zauważył Bob.

- Przynajmniej nie będziemy wyglądali jak skradający się intruzi - uznał Jupiter.

Poprowadził przyjaciół do miejsca, w którym nie brukowany trakt przecinał ziemię Radforda. Widać stąd było usytuowaną w połowie wzgórza stodołę-laboratorium Woolleya, a nieco wyżej, po lewej stronie, cieplarnię, dającą schronienie kolonii drapieżnych mrówek. Za cieplarnią rósł w poprzek wzgórza rząd eukaliptusów. Polna droga kończyła się tuż przy drzewach.

Powyżej stał okazały biały dom w kształcie litery L, z dachem pokrytym czerwoną dachówką. W rogu, utworzonym przez dwa skrzydła domu, znajdował się basen. Całą posiadłość otaczały gładkie, aksamitne trawniki.

Naprzeciwko eleganckiej rezydencji, po drugiej stronie Dębowego Kanionu, stała pozbawiona okien, betonowa budowla o dziwnym kształcie.

- Dom Mosby'ego - powiedział Pete. - Zwariowany budynek i zwariowane miejsce na muzeum. Kto to widział, żeby zakładać je na wzgórzach.

- Mosby mieszkał tu za życia - odparł Jupiter. - Wielu bogaczy posiada rezydencje w tej okolicy. Budynek jest przynajmniej funkcjonalny. Skoro mieści się tam wielka kolekcja dzieł sztuki, brak okien stanowi zaletę domu. Dzięki temu jest on całkowicie bezpieczny.

- Ale za to koszmarnie brzydki - wtrącił Bob. - Założę się, że Radfordowie wpadli w szal, gdy go budowano.

Chłopcy prowadzili rowery pokrytą kurzem drogą w stronę eukaliptusów. Milczeli. Każdy z nich miał przed oczyma Charlesa Woolleya, który rankiem biegł ku nim wściekły, ciskając groźbami.

Dotarli do kolonii drzew, skąd zobaczyli stracha na wróble i pole kukurydzy. Zostawili rowery i podeszli do płotu ogradzającego pole. Przyjrzeni się z bliska strachowi.

Był bez nóg; podtrzymywał go kij przybity do sztachety. Drugi kij, przymocowany pod kątem prostym do pierwszego, udawał ramiona. Strach miał na sobie czarny kapelusz, spłowiałą sztruksową kurtkę, której rękawy wypchano słomą, i szare robocze rękawice. Głowę zrobiono mu z wypełnionego słomą jutowego worka. Miał namalowane czarne trójkątne oczka i czarną kreskę ust. Usta te uśmiechały się krzywo do patrzącego.

- Nie mogliby chodzić - oświadczył Jupiter. - Wykluczone.

Chłopcy usłyszeli, że ktoś oddycha ciężko. Rozejrzeli się dokoła. W eukaliptusowym lasku stała na ścieżce jakaś kobieta. Na pierwszy rzut oka wyglądała, jakby przed chwilą zeszła z plakatu, reklamującego luksusowe wyroby. Miała szczupłą twarz o arystokratycznych rysach. Ubrana była z niedbałą elegancją w błękitne jedwabne spodnie i bluzę z drukowanego jedwabiu. Z bliska jednak widać było spłowiałe jasne włosy, ściągnięte rysy twarzy i wystraszone oczy.

Kobieta z uwagą wpatrywała się w chłopców.

- Coś ty powiedział? - spytała Jupitera.

- Powiedziałem... - zaczął śmiało Jupe, ale wnet zamilkł. Zdał sobie sprawę, że gdyby powtórzył oświadczenie, iż strach na wróble nie może chodzić, zabrzmiałoby to śmiesznie, a Pierwszy Detektyw nienawidził uczucia śmieszności.

- Powiedziałaś, że to nie mogłoby chodzić - przypomniała kobieta podniesionym głosem. Słysząc w nim było nuty hysterii, jakby nieznajoma z trudem kontrolowała swoje reakcje. - Co wiesz o tym strachu na wróble?

- Naprawdę nic - odparł Jupiter. - W miasteczku spotkaliśmy mężczyznę, który opowiadał, że widział w tej okolicy spacerującego stracha. Historia wydała nam się dość dziwna, więc zjawiliśmy się tu, by się rozejrzeć i na własne oczy przekonać, o co chodzi.

- Jakiś człowiek widział stracha na wróble? - spytała z ożywieniem kobieta. - Kim jest ten człowiek? Gdzie można go znaleźć?

Jupiter zawahał się, nim udzielił odpowiedzi. Larry Conklin pracował dla firmy odpowiedzialnej za bezpieczeństwo Muzeum Mosby'ego. Jak zareagowałiby jego przełożeni, gdyby dotarło do nich, że podwładny opowiada dziwne historyjki o wędrującym w ciemnościach strachu na wróble?

- Pytałam o coś - przypomniała nieznajoma.

- To był jakiś obcy przechodzień - odparł Jupiter. - Powiedział, że widział stracha na wróble, przemykającego w pobliżu domu Radforda.

- Wiedziałaś! - krzyknęła kobieta i zaśmiała się histerycznie. - Naprawdę jest tu wędrujący strach na wróble! On istnieje! Mam świadka!

Zakryła dłońmi twarz i wybuchnęła płaczem.

ROZDZIAŁ 4

Szalona kobieta

Trzej przyjaciele przyglądali się ze zdumieniem szlochającej kobiecie. Nie wiedzieli, co robić. Na szczęście nieznajoma szybko się uspokoiła.

- Przepraszam - powiedziała zakłopotana. - Pewnie myślicie, że zwariowałam. W końcu wszyscy tak uważają. Ale to nieprawda. Strach na wróble rzeczywiście kręci się w tej okolicy.

Jupiter sceptycznie popatrzył na beznogie straszycło.

- Oczywiście może nie ten - zgodziła się kobieta - tylko jakiś inny, który wygląda podobnie.

- Sądzi pani, że strach ma brata bliźniaka? - Jupiter uśmiechnął się półgębkiem.

- Czy to nie wszystko jedno? - odrzekła nieznajoma. - Ważne, że ktoś go widział. Czy moglibyście udać się ze mną do domu? Chciałabym, żebyście powiadomili panią Chumley, że nie wymyśliłam całej tej historii.

- Cóż, niewiele mamy do powiedzenia - stwierdził Jupiter.

- Wobec tego wynoście się stąd - rozkazała kobieta ostrym tonem. - Co wy tu w ogóle robicie? To nie wasz interes.

- Ma pani rację - odparł zupełnie nie zmieszany Jupiter. - Niemniej jednak wędrujący strach na wróble to ciekawa zagadka, a my bardzo je lubimy.

Po czym wyjął z portfela wizytówkę i wręczył ją nieznajomej.

TRZEJ DETEKTYWI

Badamy wszystko

???

Pierwszy Detektyw Jupiter Jones

Drugi Detektyw Pete Crenshaw

Dokumentacja i analizy Bob Andrews

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziała kobieta.

- Jesteśmy prywatnymi detektywami - wyjaśnił Jupiter.

- Niemożliwe!

- A jednak to prawda - oświadczył Pierwszy Detektyw poważnym, dorosłym tonem, który przybierał, gdy chciał, by traktowano go serio. - Znaki zapytania na naszej wizytówce świadczą o tym, że fascynuje nas nieznane. W dodatku nie uważamy niczyich pomysłów za

kompletnie bez sensu, dopóki sami nie zbadamy sprawy. Dzięki temu z powodzeniem daliśmy sobie radę z przypadkami, które wprawiły w zakłopotanie bardziej stereotypowo myślących wywiadowców.

- Wierzę w wasze dobre intencje - powiedziała kobieta. - W porządku, jestem gotowa wam zapłacić. Chodźcie ze mną do domu i poinformujcie panią Chumley, że strach naprawdę chodzi, a na pewno nie pożałujecie.

Jupiter popatrzył na przyjaciół.

- Nie chcemy pieniędzy za to, że powtórzymy jedynie czyjaś opowieść, prawda, chłopcy?

- Jasne - poparł go Bob.

- No więc chodźcie za mną - poprosiła kobieta. Ruszyła ścieżką w stronę domu, Trzej Detektywi za nią.

- Kim jest pani Chumley? - spytał Pete.

- Niegdyś była osobistą sekretarką mojej matki, a teraz dogląda nam domu - wyjaśniła nieznajoma. - Nazywam się Letycja Radford i mieszkam tutaj. To znaczy pomieszkuję od czasu do czasu, gdy nie przebywam w innych stronach.

- I widziała pani spacerującego stracha - podsunął Jupiter.

- Kilka razy. Wydaje mi się, że on... że on mnie szuka. O zmroku. Zawsze tylko wtedy.

Minęli już kępę drzew i szli przez trawnik.

- Nikt więcej nie widział go na oczy - kontynuowała Letycja. - Domownicy uważają, że zwariowałam i wymyśliłam sobie to wszystko.

Przystanąła; na jej twarzy malował się lęk i obrzydzenie.

- Nienawidzę strachów na wróble i owadów. Organicznie ich nie znoszę! - Zadrzała. - Nieważne. Po prostu powiedzcie pani Chumley to samo, co mi. Może w końcu przestanie wysyłać mnie do psychiatry.

Weszli po stopniach na taras przylegający do posesji Radforda. Chłopcom zaparło dech z podziwu na widok ogromnego basenu, który przedtem dostrzegli z drogi. Obok basenu nakryto stół dla dwóch osób. Wokół niego kręcił się ubrany w białą marynarkę szczupły mężczyzna o rudawoblond włosach, sprawdzając, czy wszystko jest w należytym porządku.

- Gdzie jest pani Chumley, Burroughs? - zapytała Letycja Radford.

- W swoim pokoju, panienko - odparł mężczyzna. W jego głosie słychać było brytyjski akcent. - Moja żona poszła jej pomóc. Powiedziała...

- Nieważne. Oto i ona.

Na tarasie pojawiła się służąca w czarnej sukience i białym fartuszk. Popychała przed sobą wózek inwalidzki, na którym siedziała mniej więcej sześćdziesięcioletnia kobieta. Siwe włosy miała ufryzowane w loczki, przywędłe policzki pokryte różem. Nogi starszej pani okrywał zrobiony szydełkiem wełniany koc.

- Witaj, Letycjo! - zawołała. Ciemne, błyszczące oczy spoczęły na chłopcach. - Kim są ci młodzi ludzie, kochanie? - spytała.

- Nazywają ich Trzema Detektywami, pani Chumley - odparła Letycja Radford. Spojrzała na wizytówkę, którą jej dał Jupiter, a potem na niego. - Przypuszczam, że ty jesteś Jupiterem Jonesem, Pierwszym Detektywem - powiedziała.

- Zgadza się - potwierdził Jupe.

- Sądzę, że ten muskularny chłopiec to Pete Crenshaw - ciągnęła - gdyż okularnik z pewnością jest Bobem Andrewsem, który prowadzi badania i robi analizy.

- Ma pani całkowitą rację. - Bob uśmiechnął się szeroko.

- Spotkałam tych chłopców, gdy obserwowali stracha na wróble, którego umieścił na płocie ten zwariowany Woolley, i wie pani co? - zawołała Letycja Radford.

- Cóż takiego, kochanie? - spytała starsza pani, siedząca na wózku inwalidzkim.

- Okazało się, że chłopców zaciekało straszycem, gdyż jakiś mężczyzna spotkany w mieście powiedział im, że widział, jak ten stwór spaceruje po okolicy! - oznajmiła Letycja triumfalnym tonem, ale pani Chumley najwyraźniej wysłuchała jej rewelacji jedynie z grzeczności.

- Proponuję, żeby chłopcy zostali z nami na herbatce i opowiedzieli o całym zdarzeniu - podsumowała. - Burroughs, mógłbyś przynieść jeszcze trzy nakrycia?

- Oczywiście, proszę pani - odparł mężczyzna w białej marynarce, po czym wraz ze swoją żoną opuścił taras i udał się do domu. Pani Chumley o własnych siłach podjechała wózkiem do stolika.

- Powiadacie więc, że spotkaliście mężczyznę, który widział biegającego stracha na wróble - zwróciła się do chłopców. - To bardzo ciekawe. Siadajcie i opowiedzcie nam wszystko po kolei.

Jupiter zajął miejsce obok pani Chumley.

- Nas również to zaciekało - przyznał. Nie zdążył powiedzieć nic więcej, gdyż na tarasie niespodziewanie pojawił się Charles Woolley.

- Co tu się dzieje? - zapytał, rzucając oskarżycielskie spojrzenie w stronę chłopców.

- Właśnie zabieraliśmy się do wypicia herbaty, doktorze Woolley - odparła zimno Letycja Radford. - Czy chce pan czegoś od nas?

Woolley zbliżył się do stolika.

- Okłamaliście mnie, opowiadając banialuki o zepsutej ciężarówce! - zwrócił się do chłopców. - To był pretekst, by wdrzeć się do mojego laboratorium i... i...

Naukowiec zamilkł, niepewny, co ma dalej powiedzieć.

- Co niby mielibyśmy robić w pańskim laboratorium? - spytał Jupiter. - Zadzwoniliśmy stamtąd, i tyle. Proszę sobie wyobrazić, że potem spotkaliśmy w mieście mężczyznę, który widział w tej okolicy chodzącego stracha na wróble. Okazało się, że i panna Radford go widziała. Powiedziała, że ona jedyna spośród tutejszych mieszkańców. Czy to prawda, doktorze Woolley?

Charles Woolley nic nie odpowiedział, ale jego twarz oblał rumieniec.

- Pan też go widział! - krzyknęła Letycja Radford i poderwała się z krzesła. - Niech się pan przyzna!

- No, faktycznie, coś mi tam mignęło - potwierdził zmieszany Woolley. - Tej nocy, kiedy ktoś włamał się do mojego laboratorium i wezwałem policję. Wydawało mi się, że dostrzegłem coś podobnego do stracha na wróble.

- Ale potem powiedział pan, że był to po prostu jakiś podejrzany osobnik! - Letycja znowu podniosła głos.

- Nie chciałem pani martwić - odparł Woolley. - Poza tym miałem już dość kłopotów z policją. Trzeba było widzieć minę komendanta Reynoldsa, kiedy przyjechał z komisariatu w Rocky Beach wraz z dyżurnym oficerem i usłyszał historię o strachu na wróble, który włamał się do mojego laboratorium, uderzył mnie w głowę i ukradł słoje z mrówkami.

- Coś wspaniałego! - zaśmiała się Letycja Radford. - Komendant uznał pana za szaleńca. Dlaczego jednak nic mi pan nie powiedział? Wszyscy w tym domu uważali, że to ja jestem wariatką. Czemu pan milczał? Jak można być tak okrutnym?

- Miałem na względzie swoją reputację naukowca - odparł ze złością Woolley. - Nie mogę sobie pozwolić na mieszanie się w jakieś awantury. Prowadzę poważne badania!

- Och, tak! - krzyknęła Letycja Radford. - Pańska osoba napawa mnie wstrętem.

Obróciła się na pięcie i pobiegła do domu. Pani Chumley odprowadziła ją zatroskanym spojrzeniem.

- Panie, chroń mnie od historyczek - westchnął Woolley. - A wy dotąd nie wyjaśniliście, co tutaj porabiacie - zwrócił się ponownie do chłopców.

- Oglądaliśmy stracha na wróble - odparł Jupiter. - Uznaliśmy, że warto przyjrzeć mu się z bliska po tym, jak dzisiejszego ranka wziął mnie pan za niego.

- Rano bezprawnie weszliście na mój teren, a teraz tu węszyć - rzucił

oskarżycielskim tonem Woolley.

- Skoro podejrzewa nas pan o jakieś nieczne zamiary, to czemu nie zadzwoni pan do komendanta Reynoldsa? - podsunął Bob. - Szef policji nas zna.

- Zaraz to zrobię. Burroughs, bądź uprzejmy przynieść mi telefon - polecił podniesionym głosem.

Po chwili służący pojawił się z aparatem w dłoni. Wetknął wtyczkę do gniazdka przy drzwiach, podał aparat Woolleyowi i ponownie zniknął we wnętrzu domu. Naukowiec połączył się z komendą policji w Rocky Beach.

- Tu doktor Charles Woolley. Dzwonię z posiadłości Radfordów - oznajmił lapidarnie.
- Trzech chłopców od rana kręci się po moim terenie. Oglądają stracha na wróble i zastanawiam się...

Przerwał na chwilę.

- Tak, jeden z nich jest raczej pyzaty - powiedział do słuchawki.

Potem znowu zamilkł i popatrzył na Jupe'a.

- Ty jesteś Jupiterem Jonesem? - upewnił się.

Pierwszy Detektyw pokiwał głową.

- Zgadza się, to Jupiter Jones - poinformował naukowiec swego rozmówcę po drugiej stronie linii.

Przez chwilę jeszcze trzymał słuchawkę przy uchu, po czym pożegnał się i zakończył rozmowę.

- Komendant Reynolds prosił, aby wam przekazać, byście trzymali się z dala od sprawy i nie pakowali się w kłopoty - oznajmił.

- Powiedział także, że jesteście nieszkodliwi. Prawdę mówiąc, nie ma w stosunku do was żadnych zastrzeżeń. To raczej mnie nie dowierza.

Nagle w głębi domu rozległ się przeraźliwy krzyk. Wysoki, drżący głos wibrował w całym pomieszczeniu.

- Wielkie nieba! To Letycja! - zawołała pani Chumley. - Co się znowu stało?

ROZDZIAŁ 5

Poważny szok

Woolley i Trzej Detektywi wbiegli na górę i zastali Letycję Radford skuloną przy ścianie w korytarzu.

- Mrówki! - krzyczała, wskazując na drzwi. - Tam są miliony mrówek!

- Dobry Boże - westchnął Woolley. Wszedł do przytulnej, niewielkiej bawialni, tuż za nim wpadli chłopcy. Za pokojkiem mieściła się duża, kwadratowa sypialnia, w której stało olbrzymie łóżko z baldachimem, a na nim rzeczywiście roiły się setki mrówek.

Woolley stanął w miejscu i z namysłem wpatrywał się w niewielkie stworzonka.

- Pani Burroughs, płyn na owady! Szybko! - krzyczała z półpiętra Letycja Radford.

- Czy to mogą być pańskie utraczone okazy? - spytał Jupe.

Woolley zrobił kilka kroków w stronę łóżka i uważnie przyjrzał się mrówkom.

- Tak, z całą pewnością - potwierdził.

- Co tu się dzieje? - usłyszeli z tyłu krzepki głos.

Chłopcy odwrócili się.

W drzwiach sypialni pojawiła się pani Burroughs z pojemnikiem sprayu na owady w dłoni. Tuż obok niej kręciła się Letycja Radford.

- Panienska będzie uprzejma się odsunąć - poprosiła pani Burroughs. - Zaraz się zajmę tymi paskudnikami.

Ta rzeczowa kobieta wniosła ze sobą do pokoju pogodną, zdrową atmosferę. Zakrzętała się energicznie i zaczęła przyskać mrówki płynem owadobójczym.

- Niech się panienska już nie martwi - poradziła Letycji Radford. - Zaraz uprzątniemy te wstrętne stworzonka, zmienię pościel i wszystko będzie czyściutkie, jakby nigdy nic.

- To pańska wina! - Letycja oskarżycielskim tonem zwróciła się do Woolleya. - W tym domu nigdy nie było żadnych owadów, dopóki pan się nie zjawił z tymi swoimi aparatami, słojami, rurkami i...

- Moja droga Letycjo - odparł Woolley - mrówki były na tym wzgórzu, zanim w ogóle ktokolwiek o mnie tu słyszał. A co do tego, że przyszły do domu...

- Zostały przyniesione - poprawił Jupiter. - Same się tu nie znalazły.

Schylił się i wydobył wystający spod łóżka słój.

- Czy to pański? - spytał Woolleya.

Naukowiec pokiwał głową.

- Wygląda jak ten, który zabrał strach na wróble.

- A więc mamy stracha-złodzieja! Coraz lepiej. Ten przypadek naprawdę zaczyna być ciekawy - Jupiter roześmiał się radośnie.

- Z czego tu się cieszyć! - krzyknęła rozżłoszczona Letycja. Na jej bladych policzkach wykwitły czerwone plamki. - A w ogóle to wynoście się stąd! Pan także - zwróciła się do Woolleya. - Zabieraj pan te straszne mrówki i zejdź mi pan z oczu. Wieczorem dzwonię do mojego brata. Jutro pana tu nie będzie.

- No już dobrze, dobrze. - Pani Burroughs uspokajała pannę Radford tonem, jakim przemawia się do rozkapryszonego dziecka.

Odstawiła płyn na owady, zrolowała prześcieradło i zawinęła w nie martwe mrówki, po czym wręczyła tobolek Woolleyowi.

- Już niech pan stąd idzie i zabiera to ze sobą - powiedziała. - Później się wywiemy, kto się za tym kryje.

Woolley potulnie zabrał pakunek i wyszedł z pokoju. Trzej Detektywi ruszyli za nim.

Kiedy znaleźli się w holu na dole, naukowiec popatrzył na chłopców smutnym wzrokiem.

- Wygląda na to, że nici z waszej sprawy. Oby to samo nie spotkało moich badań. Letycja zawsze znajdzie jakiś pretekst, by pozbyć się kogoś ze swojego domu. Gdy tylko trochę ochłonie, na ogół zapomina, o co jej chodziło. Przekonamy się, czy naprawdę zadzwoni wieczorem do brata.

Naukowiec wzruszył ramionami i frontowymi drzwiami opuścił dom, niosąc pod pachą prześcieradło pełne nieżywych mrówek. Chłopcy poszli na taras. Pani Chumley ciągle tam była. Popijała herbatę, tak nieporuszona, jakby inwazja drapieżnych mrówek była codziennym wydarzeniem. Detektywi poinformowali ją, że niestety nie mogą zostać na herbatce. Pani Chumley z grzeczności wyraziła ubolewanie i pożegnała chłopców.

Wrócili do Rocky Beach akurat na kolację. Dopiero następnego ranka podczas spotkania w warsztacie Jupitera mieli okazję porozmawiać o dziwnych wydarzeniach minionego dnia.

W rogu składu złomu Jonesów, oddzielnym od reszty podwórza stosem rupieci, mieścił się warsztat Jupitera. W tym prowizorycznym pomieszczeniu, zabezpieczonym od deszczu daszkiem, biegnącym wokół całego terenu składu, znajdowała się prasa drukarska, którą Jupiter złożył z różnych dziwnych części zebranych w składzie. Były tam również tokarka, piła taśmowa, wiertarka i stół stolarski.

Kiedy Pete i Bob przyszli do warsztatu. Jupiter siedział na obrotowym krześle i wpatrywał się w jakiś nieokreślony punkt.

- Myślisz o tym strachu na wróble? - spytał Bob.

- A wy nie? - zdziwił się Pierwszy Detektyw.

- Jasne, że tak. I o mrówkach. Kto mógłby wpaść na pomysł, by je ukraść z laboratorium i włożyć kobiecie do łóżka?

- Ten, kto jej nie lubi - powiedział Pete. - A to nie jest takie trudne, bo panna Radford ma raczej niemiłe usposobienie.

Pete zamilkł. Światelko zainstalowane ponad prasą drukarską migąło bez przerwy, co oznaczało, że w Kwaterze Głównej dzwoni telefon.

Kwatera Główna młodych detektywów mieściła się w starej przyczepie kempingowej, ustawionej niedaleko warsztatu Jupitera. Była ukryta przed ciekawskimi oczyma pod stertą nikomu niepotrzebnych materiałów budowlanych i złomu. Wuj Tytus podarował ją chłopcom, by mogli urządzić w niej klub, a potem całkiem o tym zapomniał. Trzej Detektywi pilnie uważali, by mu o przyczepie nie przypomnieć.

- Aha - mruknął Jupiter na widok migającego światelka. - Spodziewałem się dziś rano telefonu.

Pete stanął za prasą drukarską i zdjął żelazną kratę, która zakrywała wejście do karbowanej rury. Wczołgał się do rury wyłożonej kawałkami starej wykładziny dywanowej, a za nim pozostali chłopcy. Przejście, które pokonywali, jedno z kilku sekretnych wejść do ukrytej przyczepy, zwane było Tunelem Drugim. Biegł on pod kilkoma zardzewiałymi żelaznymi belkami i doprowadzał bezpośrednio do wejścia do Kwatery, umieszczonego tuż pod jej podłogą. Pete popchnął ruchomą klapę i wdrapał się do biura Trzech Detektywów.

Telefon ciągle dzwonił. Pete podniósł słuchawkę, przez chwilę w milczeniu trzymał ją przy uchu, po czym uśmiechnął się szeroko.

- Nie, mówi Pete - powiedział - ale Jupiter też tu jest, podobnie Bob.

Znowu słuchał swego rozmówcy. Na koniec powiedział: "zobaczę", i nakrył mikrofon dłonią.

- Zgadnijcie, kto dzwoni? - spytał.

- Letycja Radford - odparł Jupe. - Chce, abyśmy pomogli jej znaleźć prześladowcę, który nęka ją w przebraniu stracha na wróble i włożył jej do łóżka mrówki.

- Nawet geniusz może się pomylić - oznajmił radośnie Pete. - Dzwoni Charles Woolley i to on pragnie nas wynająć, byśmy odkryli, kto prześladowuje Letycję. Chciałby się z nami spotkać. Nasz numer telefonu otrzymał od komendanta Reynoidsa.

- Wspaniale! - zawołał Jupe. -Jednak będziemy rozwiązywać tę sprawę. Ja idę, a ty, Bob?

Bob pokiwał głową.

- Zaraz wyruszamy i jedziemy do pana - powiedział Pete do rozmówcy po drugiej stronie linii.

ROZDZIAŁ 6

Bomba zegarowa

Po niecałej godzinie chłopcy dotarli do dużej czerwonej stodoły w posiadłości Radforda.

- Letycja nie zadzwoniła ubiegłego wieczoru do swego brata - oznajmił z ulgą Woolley. Siedział na wysokim stołku, łokcie oparł na stole, na którym leżały poukładane porządnie rydle, pesety i kleszcze. - Nie sądzę, co prawda, by Chester Radford od razu musiał posłuchać siostry, jednakże sam doszedłem do wniosku, że nie mogę dłużej ignorować całej tej afery ze strachem na wróble. To już nie jest tylko problem Letycji, ale również mój. Ktoś wykorzystuje teraz moje mrówki, by ją prześladować. Nie dopuszczę, by z tego powodu ucierpiały badania naukowe.

Zadzwoniłem rano do komendanta Reynoidsa - kontynuował Woolley - i opowiedziałem mu o wczorajszym incydencie z mrówkami, jak również o tym, że Letycja już kilka razy widziała stracha na wróble. Komendant nie potraktował informacji zbyt poważnie. Jego zdaniem, po prostu dzieci sąsiadów płatają nam figle. Uznał, że to wy, chłopcy, możecie z powodzeniem rozwiązać tę sprawę.

- A co pan o tym myśli? - spytał Jupiter. - Czy rzeczywiście jakieś dziecko może robić kawały?

- W sąsiedztwie nie ma żadnych dzieci - odparł Woolley. - Dom Radforda i Muzeum Mosby'ego to jedyne budynki w promieniu wielu kilometrów. Mielicie okazję poznać wszystkich, którzy mieszkają w posiadłości Radforda. W domu Mosby'ego przebywa kustosz muzeum, Gerhart Malz, i dwóch strażników, którzy pracują tam na zmianę w charakterze obsługi technicznej. Kończą pracę codziennie o piątej i wracają do swoich domów, natomiast Malz mieszka w muzeum, ale on nie jest typem kawalarza.

- Rozumiem - powiedział Jupe. - Jeśli wobec tego chce pan zostać klientem Trzech Detektywów, proszę opowiedzieć nam wszystko, co pan wie o tej sprawie. Ustalenie tożsamości rzekomego stracha na wróble może być proste. Ktoś z zewnątrz, emocjonalnie nie zaangażowany w to, co się dzieje, poradzi sobie z tym najłatwiej.

Bob wyjął z kieszeni notes i długopis. Przygotował się do robienia notatek.

- Ja ponoszę odpowiedzialność za stracha na wróble - zaczął Woolley. - To znaczy... mam na myśli tego na płocie. Zrobiłem go ze starych ubrań, które pani Burroughs znalazła na strychu w domu Radforda. Również ja posiałem kukurydzę, by mieć pewność, że mrówki nie

opuszczą tego terenu w poszukiwaniu pożywienia. Nawet trudno sobie wyobrazić, ile owadów przyciąga to pole.

Jak wiecie, znalazłem się tu z powodu mrówek. Naprawdę tylko one mnie interesują. Niewiele czasu spędzam w dużym domu, więc nie jestem za bardzo wciągnięty w sprawy jego mieszkańców. Poza ofiarowaniem mi funduszu na prowadzenie badań naukowych, Chester Radford pozwolił mi również wykorzystać stodołę jako laboratorium i mieszkać za darmo w domku gościnnym.

- W domku gościnnym? Gdzie to jest? - spytał Jupe.

- W pewnej odległości od dużego domu, na wzgórzu stoi niewielka chatka - odparł Woolley. - Wczoraj jej nie zauważyliście, gdyż zasłaniają ją dęby, które rosną między nią a posesją Radforda.

- Rzeczywiście ma pan tu niezłe warunki do pracy - zauważył Jupiter. - Nic dziwnego, że nie chciałby pan opuszczać tego miejsca.

- Z pewnością wolałbym tego nie robić - przyznał Woolley. - Wziąłem urlop na uczelni i byłoby fatalnie, gdybym musiał przerwać tu pracę. Wszystko szło doskonale, dopóki nie zjawiała się Letycja.

Bob podniósł wzrok znad notatek.

- To znaczy, że nie było jej tu, gdy zaczynał pan badania? - spytał.

- Zgadza się. Przyjechałem w maju, a Letycja pokazała się w czerwcu. Pewnie nie wiecie, jaki z niej obieżyświat. Większość czasu spędza w Europie i dopiero kłopoty z mężczyznami ściągają ją do domu.

- Jakie kłopoty? - zdumiał się Pete.

Woolley uśmiechnął się.

- Panna Radford znana jest z licznych romansów. Wiele razy bywała zaręczona, ale nigdy nie doszło do zamążpójścia. Zawsze coś zaczynało się źle układać i zrywano zaręczyny. Letycja wracała wtedy do domu, by odpocząć i wyleczyć złamane serce. Tym razem przyjechała, by zapomnieć o pewnym węgierskim hrabim.

Jak pewnie zauważyliście, Letycja nie znosi owadów, zirytował ją więc widok naukowca, który badał życie mrówek na terenie jej posiadłości. Kiedy na dodatek zaczął się pojawiać strach na wróble, bez wątpienia skojarzyła ten incydent z moją osobą, gdyż to ja umieściłem straszdyło na płocie.

- Często widywała tego stracha? - spytał Jupiter.

- Myślę, że z pięć razy. Doprowadzało ją to do szaleństwa. Pewnego razu to coś obrzuciło ją robakami i pani Chumley była pewna, że Letycja postrada zmysły. Oczywiście

nikt nie uwierzył, że naprawdę widziała poruszającego się stracha na wróble. Pani Chumley nalegała, by Letycja zaczęła się leczyć u psychiatry w Beverly Hills. Skoro jednak strach naprawdę istnieje, doktor niewiele może pomóc.

- Proszę mi opowiedzieć o pani Chumley - poprosił Jupiter. - Zachowuje się jak...

- Prawdziwa pani domu - dokończył Woolley. - Rzeczywiście. Niegdyś była osobistą sekretarką pani Harrison Radford, matki Letycji. Pani Radford zmarła kilka lat temu, długo po śmierci swojego męża. Mniej więcej w tym samym czasie pani Chumley miała wypadek. Wpadła do basenu kąpielowego, z którego akurat spuszczone woda, i połamała biodra. Nigdy już kości nie zrosły się właściwie i dlatego od tamtej pory nieszczęsna kobieta skazana jest na wózek inwalidzki.

- A co z małżeństwem Burroughsów? - Jupiter zadał następne pytanie.

- To całkiem nowi pracownicy. Pani Chumley zatrudniła ich w lutym. Na tym wyczerpujemy listę domowników. Są jeszcze ogrodnicy, ale ci przychodzą tylko dwa razy w tygodniu. Podobnie jak konserwator basenu. Gerhart Malz zagląda często, by rozegrać partyjkę szachów z panią Chumley, ale nie wyobrażam sobie, by mógł komukolwiek zagrazać. Ktoś nieznamy utrudnia życie Letycji Radford i naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego Letycja mnie obwinia o wszystko. Jeśli uda jej się doprowadzić, by wyrzucono mnie z tej posiadłości, może tego gorzko pożałować.

- Dlaczego pan tak sądzi? - spytał Jupiter.

- Cóż, niewiele się dotąd dowiedziałem o tutejszych mrówkach. Czy to jakiś nowy podgatunek? Mutant? Jedno jest pewne: są to drapieżne mrówki, które jedzą wszystko, co żyje.

Kolonie z tego wzgórza w końcu się rozdzielią - ciągnął Woolley. - Młoda królowa mrówek opuści teren i zabierze ze sobą robotnice, by założyć w innym miejscu nowe kolonie. Muszę być tutaj, kiedy to nastąpi. Chcę zobaczyć, ile nowych kolonii powstanie, jak bardzo się rozrosną i w jakim czasie. Ciekawi mnie, jak daleko owady się przeniosą. Nigdy nie widzieliście pochodu wojowniczych mrówek, ale spróbujcie wyobrazić sobie falujący, szeroki na metr albo i więcej, strumień tych owadów, pożerających wszystko, co napotkają na drodze. Prawdopodobnie zaatakują nawet budynki.

- Pan... pan uważa, że one są niebezpieczne? - spytał Pete.

- Być może - odparł Woolley. - Te mrówki zjadły już wiele małych zwierzątek: kretów i polnych myszy. To są mrówki-mordercy. Znalazłem na wzgórzu szkieleciki, na których jeszcze roilo się od naszych drapieżnych owadów. Kiedy kończą ucztę, zostawiają po sobie jedynie kości.

- Innymi słowy - powiedział Jupe - mamy tu bombę zegarową. Bombę skonstruowaną z mrówek!

- Dokładnie - potwierdził Woolley.

Nagle usłyszeli jakiś dźwięk, dobiegający z otwartych drzwi laboratorium. Chłopcy rozejrzeli się.

W drzwiach stała Letycja Radford. Wyglądałaby nawet ładnie w eleganckiej, białej lnianej sukience, gdyby nie przerażenie, wycierające z szeroko otwartych oczu.

- To okropne! - krzyknęła. - Mrówki-mordercy właśnie w moim domu! Nie zniosę tego!

Młoda kobieta zanosła się płaczem.

ROZDZIAŁ 7

Opowieść o przerażeniu

- Letycjo, czy kiedykolwiek przyszło pani do głowy, by dla odmiany choć raz nie zareagować histerycznie? - spytał Charles Woolley. Pomógł pannie Radford usiąść na jednym ze stołków, przysuniętych do laboratoryjnego stołu, i wręczył jej pudełko papierowych chusteczek do nosa. - Grzeczna dziewczynka. Proszę wytrzeć oczy i uspokoić się. Obiecuję, że dopóki tu jestem, mrówki nie zrobią nikomu nic złego. Natomiast ci chłopcy chcą nam pomóc rozwiązać problem stracha na wróble.

Kobieta wyjęła chusteczkę i przyłożyła ją do oczu.

- Co to znaczy: nam? - zapytała. - Czyżby miał pan na myśli siebie i mnie?

- Oczywiście. Przecież to my jesteśmy ofiarami - zauważył Woolley. - Strach wyskakuje z ciemności wprost na panią, a mnie uderzył w głowę i ukradł mi słój z mrówkami. Sądzę, że powinniśmy coś z tym zrobić.

Letycja aż dostała czkawki z wrażenia.

- Zgoda - odparła po chwili. - Ale ci chłopcy... to przecież tylko dzieci!

- Wolałaby pani pójść zamiast tego do jakiegoś zwykłego detektywa i opowiedzieć mu, że nęka panią strach na wróble? - spytał Woolley. - Gdyby trafiła pani na człowieka, któremu żadne pieniądze nie śmierdzą, z pewnością z ochotą przyjąłby od pani honorarium za poprowadzenie sprawy, ale czy w zamian zrobiłby cokolwiek, by pani pomóc?

- Pewnie nic - przyznała Letycja. - Uznałby mnie za wariatkę.

- Ale ja wiem, że z pani głową wszystko jest w porządku - powiedział Woolley. - Przecież i ja miałem bezpośredni kontakt z tym strachem na wróble.

- Strachy na wróble są okropne. - Letycja wzdrygnęła się z obrzydzenia. - Brudne i pełne pajaków.

- Pajaków? - Jupiter upewnił się, czy aby dobrze usłyszał. - Większość ludzi uważa, że są pełne słomy.

- Zgoda - odparła Letycja Radford. - Ale właśnie w słomie lubią się gnieździć pajaki. Przekonałbyś się o tym, gdyby jakiś strach na wróble przewrócił się na ciebie. Mnie spotkało to w dzieciństwie. Przed którymś świętem Halloween poszłam z rodzicami na farmę w dolinie, by kupić dynię. Na płocie otaczającym farmę tkwił strach na wróble, dokładnie taki jak tutaj. Chciałam mu się przyjrzeć z bliska, więc wspierałam się na płot, a ten strach... ten strach...

- Spadł na panią? - podsunął Jupe.

Letycja pokiwała głową.

- To było okropne. Był taki brudny. Chyba od wieków tkwił na tym płocie. Kiedy zleciał z niego, rozpadł się na części. W środku były pająki, całe gniazda pajaków. Rozbiegły mi się po twarzy i wplątały we włosy. Do dziś nienawidzę wspomnienia tej chwili.

- No tak... - zamyślił się Jupiter. - To znaczy, że pani nadzwyczaj boi się pajaków i strachów na wróble.

- W ogóle nie cierpię owadów - podkreśliła Letycja. Rozejrzała się wokół z niesmakiem, jakby nagle sobie uświadomiła, że znajduje się w laboratorium Woolleya.

- Potrafię zrozumieć, że moja obecność nie uszczęśliwia pani zaudto - powiedział naukowiec. - Proszę mi jednak wierzyć, że nie zrobiłbym niczego, co mogłoby panią zaniepokoić. Na Boga, co mógłbym dzięki temu osiągnąć?

- A co mógłby osiągnąć ktokolwiek inny? - spytała Letycja. - Nikomu nie stoję na drodze, nikogo nie zraniłam. Po prostu chcę sobie żyć spokojnie we własnym domu i nie mogę! Strach na wróble doprowadza mnie do szaleństwa!

Zrobiła taką minę, jakby za chwilę miała znowu wybuchnąć płaczem. Jupiter szybko wszedł jej w słowo.

- Panno Radford, proszę pomyśleć logicznie. Osoba, która panią nęka, musi znać pani szczególną awersję do strachów na wróble. Jak wiele osób wie o pani fobii?

Letycja odruchowo dotknęła palcem złotego kolczyka w uchu i zastanowiła się przez chwilę.

- To nie jest jakaś wielka tajemnica - powiedziała w końcu. - Prawie każdy może o tym wiedzieć. Oczywiście pani Chumley. Towarzyszyła nam tego dnia, kiedy... kiedy to coś spadło na mnie. Widziała pająki. Ale ona nie mogłaby udawać stracha na wróble. Już sam pomysł jest głupi. Zawsze była dla mnie bardzo miła. A nawet gdyby z jakichś powodów chciała mnie nastraszyć, nie zdołałaby tego zrobić. Od pięciu lat nie opuszcza wózka inwalidzkiego, chyba że kładzie się spać. I nawet wtedy trzeba jej w tym pomagać.

- A co z Burroughsem i jego żoną? - spytał Jupiter. - Czy znali pani sekret, zanim strach zaczął panią napastować?

- Tak, sądzę, że mogli go znać. Tuż po przyjeździe do domu oglądałam w salonie telewizję w towarzystwie pani Chumley. W pewnym momencie zaczęto emitować "Czarodzieja z Oz" i musiałam zmienić kanał. Nie zniósłabym oglądania tego filmu, mimo że stracha na wróble grał Ray Bolger. Pamiętam, że Burroughs był w pokoju, kiedy zaczął się film. Wspomniałam coś pani Chumley o tym, że wciąż nienawidzę strachów na wróble.

Mogła potem opowiedzieć służącemu i jego żonie o tym, co spotkało mnie w dzieciństwie.

- Rozmawiała i ze mną - wtrącił się Woolley. - Uznała, że to wstyd, iż nadal niepokoi panią "Czarodziej z Oz".

- Tamtego dnia był z nami również Gerhart Malz - dodała Letycja. - Teraz sobie przypomniałam. Często odwiedza panią Chumley, więc on również może wiedzieć o moich lękach.

- I wszystko to miało miejsce, zanim po raz pierwszy zobaczyła pani ożywionego stracha na wróble? - spytał Jupiter.

- Tak. Zdarzyło się to w pierwszym tygodniu mojego pobytu w domu. Staralam się wtedy zrelaksować i nie martwić zbyt wieloma rzeczami. Miałam pewne kłopoty w Europie.

Zamilkła, a Jupiter pomyślał o zerwanych zaręczynach. Zastanawiał się, ile lat liczy sobie Letycja Radford. Wokół ust utworzyły jej się bruzdy, a w oczach widać było znużenie. Młodość z pewnością miała już za sobą i w dodatku sprawiała wrażenie osoby wiecznie nieszczęśliwej.

- Kilka dni po tym, jak oglądałam w salonie telewizję, wsiadłam wieczorem do samochodu, by przejechać się wzdłuż wybrzeża - kontynuowała Letycja. - On... ono było na tylnym siedzeniu. Zarechotało nieprzyjemnie i wstało. Mój samochód to kabriolet, więc to coś mogło się tam dostać bez trudu. Wyciągnęło rękę i... i nagle we włosach i na kolanach miałam pełno owadów. To nie były mrówki. Znacie te wstrętne robaki, które siedzą pod kamieniami? Takie czarne, ponad dwucentymetrowej długości, obracające się jak małe czołgi? Wrzasnęłam i strach na wróble wyskoczył z samochodu. Zanim Burroughs i jego żona zdążyli wybiec na werandę, już go nie było.

- Jejku, co za nieprzyjemne zdarzenie! - zawołał Pete.

- Bardzo nieprzyjemne.

- Czyli strach na wróble najwyraźniej wiedział, czego się pani boi - stwierdził Jupiter.

- Mógł go o tym poinformować ktoś z domowników lub, być może, Gerhart Malz. Proszę mi coś o nim opowiedzieć.

Letycja wzruszyła ramionami.

- Niewiele mam do powiedzenia. Od wieków jest kustoszem kolekcji Mosby'ego. Był nim przed śmiercią starego Mosby'ego, a teraz mieszka w jego domu i... i to właściwie wszystko, co mi przychodzi do głowy.

- Rzeczywiście niewiele - przyznał Bob, który zastanawiał się, co zapisać w notesie.

Jupe popatrzył błagalnym wzrokiem na Woolleya, lecz ten potrząsnął głową.

- Mnie nie pytaj. Nie zwracałam większej uwagi na tego człowieka.

Letycja Radford w skupieniu zmarszczyła czoło.

- Naprawdę niewiele wiadomo o Gerrym. Studiował w Instytucie Sztuki Grahama w Los Angeles, a potem zatrudnił się u Mosby'ego. Mieszka w jego domu i nadzoruje ludzi, którzy pracują tam w ciągu dnia. Zajmuje się renowacją obrazów i innych przedmiotów wchodzących w skład kolekcji oraz oprowadza zwiedzających po galerii. Muszą się wcześniej umówić na takie zwiedzanie, żeby nie kolidowało to Gerry'emu z innymi zajęciami. Moim zdaniem, ma całkiem miłą pracę i nie jest przesadnie obciążony.

- Czy posiada jakąś rodzinę? - spytał Jupiter.

- Chyba nie, nigdy nie słyszałam, żeby o kimś opowiadał - odparła Letycja.

- Jednym słowem, typ samotnika. Co robi w wolnym czasie? - dopytywał się Jupiter.

- Nic specjalnego. Przeważnie grywa w szachy z panią Chumley. - Letycja ożywiła się nieznacznie. - Skoro już o tym mowa, przypomniałam sobie, że dziś przychodzi do nas na lunch, a potem jak zwykle będzie partyjka szachów. Jeśli chcecie go poznać, zapraszam do nas.

- Dziękujemy - powiedział Jupiter. - Rzeczywiście chcielibyśmy go poznać. Uważam, że powinniśmy poznać każdego, kogo pani regularnie spotyka, ponieważ osoba, która panią prześladowa, należy najprawdopodobniej do pani znajomych!

ROZDZIAŁ 8

Skarbiec

Lunch podano w jadalni rezydencji Radforda. Pani Chumley królowała u szczytu stołu, Letycja siedziała na wprost niej, a Gerhart Malz zajmował miejsce po prawej ręce starszej pani. Właśnie opowiadał szczegółowo o Muzeum Mosby'ego.

- Mamy tam pierwszorzędny obraz Vermeera - pochwalił się chłopcom.

Gerhart miał żywe, niebieskie oczy, ukryte za szklami okularów w złotych oprawkach, rumiane policzki, a jego krótko ostrzyżone włosy były tak jasne, że aż prawie białe.

- Vermeer to fenomen - kontynuował. - Jeden z największych holenderskich malarzy. Pani Chumley jest wielką entuzjastką jego dzieł, prawda?

Starsza pani siedząca u szczytu stołu pokiwała głową.

- Pani Chumley ma kopię naszego Vermeera - powiedział Malz. - Obraz jest zatytułowany "Kobieta z różą". Kopię wykonał pewien student. Ludzie zainteresowani technikami starych mistrzów mogą przychodzić do galerii i kopiować stare obrazy. Oczywiście przedtem muszą uzyskać na to pozwolenie. Poza tym kopie nie mogą być tych samych rozmiarów co oryginały.

- Moja kopia Vermeera jest większa niż pierwowzór - dodała pani Chumley. - Gdyby nie ta różnica, trudno by poznać, co jest kopią, a co oryginałem.

Starsza pani skończyła jeść lunch i odłożyła serwetkę na stół.

- Czy mielibyście, chłopcy, ochotę obejrzeć mój obraz? - spytała.

Malz nie czekał na odpowiedź. Odsunął wózek pani Chumley od stołu i popychając go, ruszył w stronę bawialni, a trzech chłopcy i Letycja udali się za nim. Okna pokoju, do którego weszli, wychodziły na trawniki za domem. Przez otwarte drzwi widać było z bawialni następne pomieszczenie: sypialnię. Oba stanowiły coś w rodzaju małego apartamentu.

- Te pokoje zajmowała moja matka - powiedziała Letycja. - Zawsze je lubiłam. Są takie przytulne zimą, kiedy na kominku płonie ogień.

- Przecież wiesz, kochanie, że nie muszę w nich mieszkać - wtrąciła pani Chumley. - W skrzydle przeznaczonym dla służby jest wolna sypialnia. Mogę się tam przenieść.

- Co za niemądre żarty - odparła Letycja. - Naprawdę nie ma powodu, by opuszczała pani ten apartament.

Panna Radford wskazała obraz, który wisiał ponad obramowaniem kominka.

- To właśnie jest kopia Vermeera - wyjaśniła.

Chłopcy w milczeniu oglądali dzieło. Było to naturalnej wielkości studium młodej kobiety w niebieskiej sukience i koronkowym czepku. Kobieta wyglądała przez okno, trzymając w dłoni żółtą różę.

- Piękny obraz, prawda? - powiedział Malz.

Pani Chumley obróciła swój inwalidzki wózek.

- Dziś po południu nie spodziewa się pan żadnych zwiedzających - zwróciła się do Malza. - Mógłby pan zabrać chłopców do muzeum i pokazać im oryginał, a poza tym oprowadzić ich po całej galerii.

- Zrobiłbym to z przyjemnością, ale nie wiem, czy pani pamięta, że umówiliśmy się dziś na partię szachów.

- Możemy zagrać później - oświadczyła starsza pani.

- Doskonale - powiedział Malz. - No to jak, chłopcy, chcecie obejrzeć skarby?

- Jasne - odparł Jupiter. - Moi wujostwo zwiedzili muzeum kilka lat temu, kiedy jeszcze żył pan Mosby. Ciotka do dziś wspomina tę wyprawę.

Malz popatrzył na Letycję.

- Poszłabyś z nami? - spytał.

- Dziękuję za zaproszenie, ale nie mam ochoty. Byłam w muzeum co najmniej z milion razy.

- Wobec tego wychodzimy - powiedział Malz, ignorując niezbyt grzeczną odpowiedź Letycji. Poprowadził chłopców do pozbawionego okien budynku, w którym zgromadzono wspaniałą kolekcję dzieł sztuki.

- Niewiele bankowych skarbców jest tak bezpiecznych jak ten gmach - oznajmił z dumą Malz. Nacisnął przycisk dzwonka przy wejściu i strażnik wpuścił ich do środka.

Znaleźli się w kwadratowym holu, pustym, jeśli nie liczyć kilku gablotek ekspozycyjnych i starego gobelinu przedstawiającego pannę czytającą książkę na łące pełnej kwiatów.

- Wszystkie urządzenia w tym budynku służą zwiększeniu bezpieczeństwa dzieł sztuki - powiedział Malz. - Zauważyliście pewnie, że nie ma tu okien. System alarmowy został skonstruowany specjalnie z myślą o tym gmachu. W ciągu dnia wynajmujemy strażników, gdyż do muzeum przychodzą zwiedzający. Sztuczne oświetlenie jest tak zaaranżowane, by lampy nie rzucały cienia i nie dawały nadmiaru ciepła, które mogłoby prowadzić do płowienia bądź pęknięcia starych płócien. Wilgotność pomieszczeń jest kontrolowana, a temperatura taka sama przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wymarzone miejsce dla kustosza dzieł sztuki.

Malz poprowadził chłopców przez niezwykle sale budynku. Na dole zauważyli pokoje wyłożone drewnem przywiezionym z europejskich zamków. Znajdowały się tam gablotki wypełnione srebrem, rzadkimi okazami starego szkła i pięknie ilustrowanymi rękopisami.

- A gdzie są te sławne malowidła? - dopytywał się Jupiter.

- Na górze - odparł Gerhart Malz.

Zaprowadził chłopców na klatkę schodową, która kończyła się dziwnie pochyloną ścianą. Na jednym z dwóch podestów stał ogromny, tykający zegar szafkowy.

W górnym holu ustawiono pod ścianami stoły z marmurowymi blatami, na których leżały dziwne i wspaniałe przedmioty.

- Popatrzcie na to. - Malz zatrzymał się obok jednego ze stołów. - Dochodzi druga. Obserwujcie teraz kryształki zwieszające się z kandelabra.

Chłopcy zapytrzyli się na olbrzymi srebrny kandelabr, stojący na stole. Zegar w holu zaczął wybijać godzinę i wtedy kryształki zadrgały.

- Lubię ten dźwięk - powiedział Gerhart Malz. - Kryształki są tak delikatnie przymocowane, że wibrują, kiedy stary zegar zaczyna tykać. Kandelabr jest nowym nabytkiem. Kupiłem go w zeszłym roku, oczywiście za zgodą zarządu.

Kustosz ruszył dalej, a chłopcy za nim. Weszli do pokoju, w którym stało niewielkie biurko wykonane z jasnego drewna i delikatnie rzeźbione krzeselko. Wisiał tu jeden obraz.

- Do licha - powiedział Pete.

Obraz był oryginałem, którego kopię widzieli na ścianie w bawialni pani Chumley.

- Niby taki sam, a jednak inny - zauważył Bob, studiując portret kobiety z różą.

- Różnica polega na tym, że ten obraz malował sam Vermeer - powiedział Malz. - Kopia jest znakomita, ale to tylko kopia. Brakuje w niej ręki mistrza.

Chłopcy milczeli przez chwilę.

- Oryginał wygląda jak nowy - przerwał ciszę Bob. W jego głosie brzmiało zdziwienie. - Przecież Vermeer żył wiele lat temu, prawda?

- Ponad trzysta - potwierdził Malz. - Ten obraz został prawdopodobnie namalowany około tysiąc sześćset sześćdziesiątego szóstego roku. Kiedy pan Mosby go nabył, był pokryty kilkoma starymi warstwami werniksu i miał zdecydowanie brązowy odcień. Zdjąłem werniks, pod którym kryły się wspaniałe, świeże kolory.

- Czy to było trudne zadanie? - spytał Pete.

- Czyszczenie obrazów jest sztuką niełatwą, choć niewątpliwie wdzięczną. W sąsiednim pokoju mamy kilka Rembrandtów. Niegdyś były brązowożółte, z głębokimi czarnymi plamami. Pracowałem nad nimi i dzięki temu są teraz kolorowe i pełne życia.

Chodźcie za mną, coś wam pokażę.

Kiedy znaleźli się w holu, Jupiter wciągnął powietrze w płuca.

- Pachnie olejem - zauważył. - Skąd ten zapach?

- To farba olejna lub rozpuszczalnik, którego używam do przecierania obrazów - powiedział Malz. - Moja pracownia mieści się na drugim piętrze. Jest zamknięta dla zwiedzających, nawet dla tak specjalnych gości jak wy. Tam również znajduje się moje mieszkanie.

Bob rozejrzał się dokoła.

- Musi pan czuć się bardzo osamotniony. Panuje tu taka straszna cisza.

- Czasem tak - przyznał Malz. - Wynajmuję mieszkanie w Santa Monica, dokąd udaję się zawsze wtedy, gdy przygnębia mnie spokój tego domu. Jednakże na co dzień w zupełności wystarcza mi moje własne towarzystwo.

Malz ruszył dziarsko w stronę galerii, znajdującej się obok pokoju z Vermeerem, gdzie chłopcy mogli obejrzeć odnowione przez kustosa i historyka sztuki w jednej osobie obrazy Rembrandta: krajobraz i portret starszej kobiety.

Chłopcy przechodzili z jednej sali do drugiej. Wisiały w nich dzieła Rubensa, van Dycka i innych, mniej znanych artystów.

Minęło więcej niż pół godziny, gdy Malz oznajmił, że wycieczka skończona, i sprowadził chłopców na dół. Strażnika nie było już w holu głównym, więc Malz zamknął za sobą ciężkie drzwi, a potem innym kluczem uruchomił system alarmowy i wraz z chłopcami ruszył w stronę domu Radforda.

Kiedy uszli połowę drogi, usłyszeli krzyk, burzący spokój tego letniego popołudnia. Ostry i przenikliwy, narastał z każdą chwilą.

- O nie, dość tego! - zawołał Pete i zaczął biec.

ROZDZIAŁ 9

Tajemniczy obserwator

Pete i Bob galopem przemknęli przez trawnik i po kamiennych schodkach wbiegli na taras.

- To znowu Letycja - odezwał się Malz znużonym głosem. On i Jupiter poruszali się dużo wolniej.

Letycja Radford w mokrym kostiumie kąpielowym i z bosymi nogami stała obok basenu. Kurczowo ścisnęła duży ręcznik i wrzeszczała przeraźliwie.

- Letycjo, natychmiast się uspokój! - krzyknęła pani Chumley.

Jupiter popatrzył na pannę Radford i nie zauważył niczego, co mogłoby doprowadzić młodą kobietę do hysterii. Niemniej jednak Letycja wrzeszczała nadal.

Z domu nadeszła dużymi krokami pani Burroughs. Chwyciła Letycję za ramiona i potrząsnęła nią zdecydowanie.

Panna Radford przestała krzyczeć i zaczęła płakać. Służąca otoczyła ją ramieniem.

- No już dobrze, panienko, dobrze. Wszystko w porządku. Przemawiając do niej uspokajającym tonem, skłoniła Letycję, by udała się do domu. Chłopcy słyszeli, jak obie kobiety wchodzi na górę.

- Co się stało? - spytał Gerhart Malz.

Nim pani Chumley zdążyła odpowiedzieć, na kamiennych stopniach tarasu pojawił się Charles Woolley.

- Usłyszałem dla odmiany jakieś wrzaski - powiedział.

- Właśnie rozprawiłem się z tym stworzeniem - oznajmił spokojnie pan Burroughs, który również dołączył do zebranych na tarasie.

- Jakim stworzeniem? - Charles Woolley skrzywił się. - O czym pan mówi?

- Letycja pływała w basenie i kiedy wyszła z wody, na jej białe stopy wskoczył wielki, włochaty pająk, który zmykał przez taras. Letycja oczywiście narobiła wrzasku. - Pani Chumley westchnęła.

- Myślę, że to była tarantula - powiedział Burroughs. - Udało mi się ją złapać. Nakryłem paskudę ręcznikiem i już zdechłą wyrzuciłem do śmietnika. Za pozwoleniem, razem z ręcznikiem.

- Postąpił pan słusznie, Burroughs - pochwaliła pani Chumley.

- Tarantula! - krzyknął Woolley. - Trudno winić pannę Letycję, że się zdenerwowała.

Też bym to zrobił, gdyby ten owad znalazł się na mojej bosej nodze, a przecież ja lubię pająki.

- Letycja uzna ten incydent za część spisku - wyraził przypuszczenie Malz. - Sądzi, że wszystko, co ją spotyka, jest skutkiem jakiejś zмовy przeciwko niej.

Na twarzy pani Chumley pojawiło się znużenie.

- Niedobrze, że Letycja spędza beczynn timer czasu - powiedziała. - Chciałabym, żeby wróciła do Europy lub przynajmniej na jakiś czas opuściła ten dom. Kiedy się trochę uspokoi, zaproponuję jej, by pojechała do Beverly Hills i została tam przez parę dni. Mogłaby się spotkać ze starymi przyjaciółmi, porobić zakupy, no i oczywiście odwiedzić doktora Wimple'a. Chyba zadzwonię do niego i uprzedzę o ostatnim incydencie. Powinien o nim wiedzieć.

- Dowie się - stwierdził pewnym tonem Malz. - Letycja nie omieszka poinformować swego psychiatry, że do jej prześladowców dołączyła tarantula.

- Powiedział pan to tak, jakby panna Radford wymyśliła sobie wszystko - wtrącił Jupe. - Tarantula nie była przecież produktem jej wyobraźni. Pan Burroughs sam zabił pająka i wyrzucił go do śmietnika.

- Och, nie o to mi chodziło - wycofał się szybko Malz. - Oczywiście, że Letycja nie wymyśliła sobie pająka, ale faktu, że się pojawił, nie można kojarzyć z żadnym spiskiem. To czysty przypadek, że właśnie dziś owad znalazł się na tarasie jej domu.

- Przypuszczam - mruknął Jupiter.

- Czyżbyś uważał, że w fantazjach i urojeniach panny Letycji jednak coś jest? - spytał Malz, uważnie wpatrując się w chłopca.

- Tak sądzę. - Jupiter rzucił okiem na zegarek. - Minęła trzecia. Powinniśmy wracać do Rocky Beach.

- Odwiedźcie nas jeszcze - zaprosiła chłopców pani Chumley.

- Z przyjemnością. Proszę w naszym imieniu podziękować pannie Radford za lunch - powiedział Jupiter.

- Będziemy w kontakcie - obiecał Charles Woolley i pomachał chłopcom na pożegnanie.

- Dziwni domownicy - zauważył Jupiter, kiedy Trzej Detektywi szli w stronę stodoły po swoje rowery. - Jedynym intruzem w tym towarzystwie najwyraźniej jest Letycja Radford, a przecież właśnie do niej należy dom. Tymczasem inni traktują ją jak nieposłuszne dziecko, które zjawiało się tam, gdzie nikt go nie chciał. Nawet wtedy, gdy bez wątpienia nie fantazjuje,

bo przecież nie wymyśliła ani tarantuli, ani chodzącego stracha na wróble, z pobłażaniem słuchając jej wyjaśnień.

- Może sama się prosi o takie traktowanie - powiedział Pete. - Ile razy miała napady hysterii, od kiedy ją poznaliśmy?

- To prawda. Nie jest osobą o spokojnym usposobieniu - przyznał Jupiter.

- Czy sądzisz, że ktoś tu przyniósł tarantulę, podobnie jak mrówki? - spytał Bob.

- Może tak, może nie. - Jupiter wzruszył ramionami. - W tych okolicach pojawiają się tarantule. Jednakże pająk idealnie pasuje do scenariusza nękania panny Radford.

Jupe przystanął nagle nieruchomo na ścieżce i zaczął nasłuchiwać. Z lewej strony dobiegły go jakieś szelesty.

- Ktoś buszuje w kukurydzy - powiedział.

- Biegniemy! - zawołał Pete i puścił się galopem w stronę pola.

Trzej Detektywi usłyszeli odgłos tratowanego zboża. Ktoś uciekał, niszcząc po drodze uprawy. Chłopcy zaczęli gonić intruza, lecz zdążyli dobiec zaledwie do połowy pola, gdy w dole rozległ się warkot zapuszczanego silnika. Wybiegli na otwartą przestrzeń akurat w chwili, gdy z drogi biegnącej poniżej posiadłości Radforda ruszyła z rykiem jakaś stara ciężarówka. Kierowała się w stronę Dębowego Kanionu.

- Psiakość! - zaklął Pete.

Bob usiłował odczytać znaki rejestracyjne pojazdu, ale ciężarówka jechała zbyt szybko i wzniecała za sobą zbyt wiele kurzu, by zdołał cokolwiek zobaczyć.

- Intryga się wikła - wysapał Jupe, dobiegając do kolegów. Twarz miał czerwoną z wysiłku, ale oczy błyszczały mu podnieceniem. - Nasza zagadka nabiera nowego wymiaru - oświadczył. - Byłem już gotów uznać, że za prześladowanie Letycji odpowiada któryś z mieszkańców domu Radforda. Tymczasem najwyraźniej jest w to wmieszany ktoś obcy.

- Myślisz, że ścigaliśmy stracha na wróble? - dopytywał się Bob.

- Nie wiem - odparł Jupiter. - Jednakże zachowanie intruza było podejrzane. Dlaczego przed nami uciekał?

- Może to jakieś dziecko płatało się po okolicy? - podsunął Pete.

- Niemożliwe - powiedział Jupiter. - Osobnik miał samochód.

Pierwszy Detektyw popatrzył na stary, zabity deskami dom, który stał w sąsiedztwie posiadłości Radforda. Podwórze od frontu porośnięte było płataniną chwastów, umieszczona przy wyżłobionej koleinami drodze tabliczka z napisem "Na sprzedaż" całkiem wyblakła.

- Ciężarówkę bez wątplenia zaparkowano tutaj. - Jupiter wskazał podjazd biegnący do opuszczonego domostwa. - Na drodze nie ma miejsca, by zostawić samochód.

Chłopiec wspiął się na płot ogradzający pole, zeskoczył na ziemię i ciężkim krokiem ruszył w stronę domu. Koledzy poszli za nim.

Jupiter miał rację. Na pochyłym podjeździe przed zrujnowanym domem widać było świeże ślady oleju. Pierwszy Detektyw popatrzył na rezydencję Radforda. Znajdował się wystarczająco daleko od niej, by rosnące na wzgórzu eukaliptusy nie zasłaniały mu całego widoku na posesję. Częściowo zasłaniała ją teraz jedynie stodoła.

- Gdybym chciał szpiegować dom Radforda - powiedział Jupiter - to albo podszedłbym bliżej do niego, jak zrobił to nasz nieznany intruz, albo też wybrałbym jakiś wyższy punkt obserwacyjny.

Bob wskazał nie zabite deskami okna na piętrze starego domu.

- Wszedłbyś na górę?

- Oczywiście.

Chłopcy pokręcili się trochę i znaleźli tylne wejście do domu. Drzwi nie były zamknięte. Wśliznęli się do środka, minęli mroczne, puste pokoje na parterze i po skrzypiących schodach dostali się na górę.

Nagły szelest sprawił, że wszyscy trzej zamarli.

- To tylko mysz! - zawołał z ulgą Pete. Odprężył się i zaczął głośno stukać obcasami, jakby chciał przegonić wszystkie strachy.

Na piętrze z tyłu domu znajdował się pokój, w którym szerokie okna pozbawione były szyb.

- Mamy stąd znakomity widok na posiadłość Radforda - powiedział Pete. - Można zobaczyć okna na tylnej ścianie rezydencji, kilka na ścianie bocznej, fragment tarasu i trawniki. Ktoś tu był i właśnie to oglądał. - Pete wskazał na podłogę z desek, po której walały się niedopałki papierosów.

- Tajemniczy obserwator - zauważył Jupiter. - Ciekawe, czy najpierw stąd zobaczył reakcję Letycji Radford na widok tarantuli i potem ruszył w stronę jej domu, czy też był tam już wtedy, gdy pojawił się pająk? Tego się nie dowiemy, prawda?

Jupiter był rozradowany, co zdarzało mu się często wtedy, gdy sprawa, którą się zajmował, przybierała nieoczekiwany obrót.

- Mamy teraz wielu podejrzanych, którzy byliby zdolni straszyć Letycję Radford.

- I pozbawić przytomności Woolleya - przypomniał Pete. - Pamiętajmy o nim. Jest naszym klientem.

- Tak, Woolley nas wynajął - przyznał Jupiter. - I nie zapominajmy o nim również dlatego, że jest jednym z podejrzanych. W końcu cóż my o nim wiemy? Tylko to, co sam nam

powiedział. Czy naprawdę jest entomologiem? A może z innego powodu chce pozostać w posiadłości Radforda?

- Z jakiego? - spytał Pete.

- Nie wiemy, podobnie jak nie wiemy, dlaczego ktoś męczy Letycję Radford. Czy ona komuś zagraża? Czy kogoś zraniła?

Proponuję, byśmy się dowiedzieli czegoś więcej o naszych podejrzanych. Z pewnością wykluczamy z ich grona panią Chumley. Nie mogła udawać stracha, bo nie jest zdolna poruszać się o własnych siłach. Warto jednak sprawdzić Burroughsa i jego żonę oraz Malza. Co prawda nie wygląda na złodzieja owadów, ale wszystko jest możliwe. Pozostaje nasz entomolog. To on umieścił na płocie stracha na wróble i niechęć dostarczył mrówek, które ktoś włożył do łóżka Letycji. Prawdopodobnie wie więcej, niż gotów jest przyznać. A może tajemniczy osobnik atakuje Letycję, by zaszkodzić Woolleyowi?

Musimy dociec, dlaczego dzieją się tu różne dziwne rzeczy. Kiedy lepiej poznamy zamieszanych w sprawę ludzi, być może poznamy również motyw działania nie znanego nam osobnika. Jutro od rana zaczynamy poszukiwania!

ROZDZIAŁ 10

W poszukiwaniu odpowiedzi

Następnego dnia rano Pete Crenshaw zgłosił się do działu informacji biblioteki naukowej Uniwersytetu Kalifornijskiego. Doktor Barrister, profesor uniwersytetu w Ruxton, zadzwonił tam wcześniej w jego imieniu. Barrister był wmieszany w jedną ze spraw rozwiązanych przez Trzech Detektywów i od tamtej pory stał się wiernym przyjacielem chłopców. Często służył im radą, gdy potrzebowali informacji z dziedziny nauki.

Dziewczyna z działu informacji była niewiele starsza niż Pete. Uśmiechnęła się promiennie, kiedy chłopiec przedstawił się i wspomniał o telefonie doktora Barristera.

- Czyli to właśnie ty przygotowujesz referat o mrówkach - powiedziała. Zdjęła dwa tomy z regału stojącego za biurkiem. - Oto książki doktora Woolleya, poświęcone jego pracy w Panamie. O nie ci chodziło, prawda?

- Tak - odparł Pete, mając nadzieję, że dziewczyna wyszukała dla niego właściwe pozycje. Czuł się niezręcznie w roli poważnego studenta. Przecież ktoś mógłby mu zadać pytanie, na które nie znałby odpowiedzi, i co wtedy? Pete był sportowcem, a nie miłośnikiem książek, jednakże Jupiter zlekceważył jego obiekcje dotyczące nowego zadania, mówiąc, że dobry detektyw musi umieć się znaleźć w wielu sytuacjach. Pomógł mu ułożyć zmyśloną historyjkę, którą mógłby się w razie czego posłużyć, i kazał przyjacielowi się odprężyć.

Pete wziął dzieła doktora Woolleya i podszedł do długiego stołu, otoczonego z dwóch stron pomalowanymi na jasny kolor krzesłami. Usiadł, otworzył jeden z tomów i zaczął czytać.

Pół godziny później odsunął książki na bok. Wiedział o drapieżnych mrówkach niewiele więcej niż w chwili, gdy przekraczał próg biblioteki. Opracowania Woolleya były niezwykle specjalistyczne i pełne niezrozumiałych, tajemniczych terminów naukowych. Jednakże książki te były względnie nowe i jeszcze nie pozbawione obwolut. Na każdej z nich zamieszczone było zdjęcie Charlesa Woolleya i jego krótka biografia.

Pete zapisał kilka informacji w małym notesiku, który przyniósł ze sobą. Charles Woolley otrzymał dyplom ukończenia studiów na Uniwersytecie Kalifornijskim, w Stanford zrobił magisterium i wrócił do macierzystej uczelni, by zdobyć doktorat z dziedziny entomologii. Trzy lata wcześniej odbył wyprawę naukową do Panamy. Poza tym napisano o nim, że jest nieżonaty i pracuje na stanowisku asystenta profesora na Uniwersytecie Kalifornijskim.

Pete odniósł książki z powrotem do działu informacji.

- Wiesz już wszystko, co cię interesowało? - spytała dziewczyna, która mu wcześniej pomagała.

- Z pewnością - odparł dzielnie Pete.

- Czyżby? Kiedyś uczęszczałam na cykl wykładów Woolleya. Jeśli on nie wie czegoś o mrówkach, to z pewnością nie jest to godne uwagi. Myślałam, że bez trudu otrzymam zaliczenia z nauk przyrodniczych. Jakże się myliłam! Ten robał wymagłował nas zdrowo.

- Robał? - powtórzył Pete. - Tak go nazywają studenci?

Dziewczyna roześmiała się, lecz po chwili przybrała poważną minę.

- Może nie powinnam była tego mówić? Czy on jest twoim przyjacielem?

- Niezupełnie - odparł Pete. - Poznałem go jakiś czas temu w górach Santa Monica. Prowadzi tam badania. Rzeczywiście przypomina owada.

- Zgadza się. I jeśli tylko może, unika ludzi. Zajmują go jedynie mrówki. Dziwię się, że w ogóle z tobą rozmawiał.

- Opowiedział mi trochę o swojej pracy - wyjaśnił Pete, posługując się historyjką, którą wymyślili z Jupiterem. - Wydało mi się to ciekawe, a ponieważ tego lata miałem przygotować referat z biologii, postanowiłem zgłębić wiadomości na temat wojowniczych mrówek. Czy wiedziałaś, że można je spotkać tu, w Kalifornii?

- Wiedziałaś - odparła dziewczyna. - Co za wygoda dla Woolleya, prawda? Nie musi jeździć do Panamy.

Pete poczekał chwilę, czy dziewczyna powie coś jeszcze o Charlesie Woolleyu. Jednakże niczego więcej nie dodała, odłożyła tylko na półkę książki, które zwrócił jej chłopiec, i wróciła do studiowania swoich notatek.

Pete wyszedł z biblioteki na rozświetloną ulicę. W kieszeni trzymał notesik ze sporządzonymi zapiskami. Był zadowolony z przedstawienia, które odegrał, ale jednocześnie mocno zawiedziony. Nie dowiedział się o Charlesie Woolleyu niczego nowego poza tym, że ten człowiek z pewnością nie jest oszustem, lecz tym, za kogo się podaje: doktorem entomologii, asystentem profesora na Uniwersytecie Kalifornijskim. Naprawdę napisał dwie książki o drapieżnych mrówkach, co potwierdzały jego zdjęcia umieszczone na obwolutach obu tomów.

W tym samym czasie Jupiter Jones spieszył aleją Doheny w Beverly Hills. Rano zatelefonował do Letycji Radford i spytał ją, z usług jakiej agencji korzysta pani Chumley, gdy zatrudnia nowych pomocników.

- Przypuszczam, że z Barkera i Philipa - odparła panna Letycja. - Są godni zaufania,

solidni i moja matka ich lubiła. Sądzę, że właśnie do nich dzwoni pani Chumley, kiedy musi kogoś nowego wynająć. Czy mam ją o to zapytać?

- Nie - powiedział Jupiter. - Proszę, aby zostało między nami, że o cokolwiek panią wypytywałem.

Po rozmowie z Letycją Jupiter włożył swoje najlepsze spodnie i marynarkę, po czym wsiadł w autobus jadący w kierunku Beverly Hills.

Agencja Barkera i Philipsa mieściła się w dwóch gustownie umeblowanych pokojach na pierwszym piętrze niewielkiego biurowca przy Doheny. Jupiter wszedł do biura i stanął twarzą w twarz z kobietą o siwych włosach i gładkiej, różowej cerze.

- Słucham? - zapytała uprzejmie.

- Nazywam się Jupiter Jones - przedstawił się chłopiec. - Przyszedłem tu w poszukiwaniu pracy i...

- Czyżby? - wyrwało się urzędnicze.

- Zdaję sobie sprawę, że jestem młody - powiedział szybko Jupe - ale za to inteligentny i chętny do ciężkiej pracy. W dużym domu mieliby ze mnie wiele pożytku. Umieję sprzątać, naprawiać różne urządzenia, a jeśli trzeba wyprowadzać psa...

Starsza pani roześmiała się.

- Miło słyszeć, że chłopiec w twoim wieku jest aż tak uzdolniony. Jednakże właściciele dużych posiadłości zwykle zatrudniają dorosłych służących. Czemu nie zajmiesz się roznoszeniem gazet? Lub nie zgłosisz do któregoś z supermarketów z pytaniem, czy nie wakuje miejsce pomocnika?

Jupiter przybrał najbardziej nieszczęśliwy wyraz twarzy, jaki tylko zdołał.

- Miałem nadzieję, że pójdzie mi lepiej. Burroughs powiedział mi, że jesteście bardzo dobrzy.

- Burroughs? - powtórzyła urzędniczka agencji.

- Służący z posiadłości Radforda - wyjaśnił Jupiter.

Urzędniczka obróciła się na krzesło, wysunęła szufladę z szafki z dokumentami i wyjęła kartotekę. Zajrzała do niej i uśmiechnęła się.

- Ach tak, Burroughs. Dawny pracownik lorda Armistona. Umieściliśmy go wraz z żoną u pani Chumley. Wspaniały człowiek.

- Mam referencje - powiedział ochotczo Jupiter. - Burroughs mówił, że ich wymagacie.

- To oczywiste. Nie utrzymalibyśmy się długo w tym interesie, gdyby poleceni przez nas ludzie okazali się niegodni zaufania. W sprawie Burroughsa, na przykład, wysłaliśmy depezę do Anglii do jego poprzedniego pracodawcy. Kiedy lord Armiston przysłał nam

telegram, w którym poinformował, że Burroughs jest bardzo uzdolniony, a jego żona świetnie gotuje, natychmiast znaleźliśmy im zatrudnienie.

W twoim przypadku jednak referencje nic nie pomogą. Po prostu nie mamy posad dla młodych chłopców.

- Rozumiem - powiedział Jupiter.

- Dziwię się, że Burroughs w ogóle sugerował ci, żebyś się do nas zgłosił.

- Niezupełnie tak było - przyznał Jupiter. - Burroughs niczego mi nie sugerował. Sam wymyśliłem, żeby tu zajrzeć, kiedy się dowiedziałem, że właśnie za pośrednictwem waszej agencji dostał pracę u Radforda.

- To jednak pewna różnica, prawda? - zauważyła starsza pani. - No cóż, odwiedź nas znowu za kilka lat. Wtedy będziemy mieli o czym porozmawiać.

Jupiter podziękował urzędniczce i opuścił biuro, marszcząc ze złości brwi. Burroughs pracował niegdyś jako służący u angielskiego lorda. Niemożliwe, by udawał stracha na wróble i wkładał komuś mrówki do łóżka.

Kiedy Jupiter wsiadał do autobusu jadącego w stronę Rocky Beach, Bob wykonywał zadanie w zachodniej części Beverly Hills. Przyjechał tam razem z Jupiterem, tyle że wysiadł dalej, na przystanku przed dużym, kwadratowym gmachem, w którym mieścił się Instytut Sztuki Grahama. Bob wiedział co nieco o tej szkole, która wykształciła wielu naprawdę dobrych artystów. Wszedł po szerokich frontowych schodach i pchnął ciężkie, wykonane z brązu drzwi.

Znalazł się w długim, szerokim holu. Z każdej strony znajdowało się wiele par drzwi, zza których dolatywał zapach podobny do tego, jaki unosił się w powietrzu w Muzeum Mosby'ego. Woń farb olejnych.

- Szukasz czegoś, chłopcze?- spytał młody mężczyzna w niebieskich dżinsach. Wyszedł właśnie z jednego z pokojów, trzymając w ręku niewielką, składaną drabinę.

- Ja... szukam kuzyna - odparł z wahaniem Bob, po czym zmarszczył brwi. Jupiter nie jękałby się ani nie wahał. Zachowywałby się stanowczo i zdecydowanie.

Bob odetchnął głęboko i rozprostował ramiona.

- Mój kuzyn studiował niegdyś w tej uczelni - powiedział. - Nie znam jego obecnego adresu i pomyślałem, że szkoła może mieć zanotowane informacje o jego miejscu pobytu.

O tak, teraz zabrzmiało to o wiele lepiej.

- Oczywiście - odparł młody mężczyzna. - Uczelnia stara się śledzić losy wszystkich absolwentów. Biura administracji znajdują się na pierwszym piętrze z przodu budynku.

Zapytaj którąś z osób tam zatrudnionych.

Bob podziękował swojemu rozmówcy, wszedł na górę i trafił na przeszklone boksy, w których mieściły się działy administracji. Wszystkie z wyjątkiem jednego były teraz puste. W tym jednym siedział jakiś brodaty mężczyzna i przeglądał akta.

- Życzysz sobie czegoś? - zapytał na widok Boba.

- Mój kuzyn był studentem tego instytutu - wyjaśnił chłopiec. - Nazywał się Gerhart Malz. Przyjechałem na wycieczkę do Los Angeles i mama prosiła, bym przy okazji odwiedził kuzyna, ale nie mogę znaleźć jego nazwiska w książce telefonicznej.

- Malz? - powtórzył brodac. - Tak, oczywiście. Przed laty był moim studentem. Teraz jest kustoszem w Muzeum Mosby'ego.

Bob zachował niewzruszony wyraz twarzy, jakby nigdy przedtem nie słyszał o takim muzeum. Jego rozmówca odwrócił się od fiszek kartoteki.

- Muzeum Mosby'ego mieści się na wzgórzach powyżej Rocky Beach, więc nie próbuj się tam dostać na własną rękę. Numer muzeum znajdziesz w książce telefonicznej. Zadzwoń do kuzyna. Domyślam się, że Gerry jest tak dumny z tego muzeum, jakby sam był jego właścicielem. Poproś, by po ciebie przyjechał, zawiózł cię tam i oprowadził po galerii. Mam nadzieję, że lubisz starych mistrzów.

- Ma pan na myśli obrazy? - upewnił się Bob.

- Właśnie. Dzieła takich malarzy jak Rembrandt, van Dycke i Vermeer. U Mosby'ego pełno jest arcydzieł mistrzów tej klasy.

- Tak... Rzeczywiście, to musi być ciekawe... - przyznał Bob.

- Kustosz jest dość ważną osobą, prawda? To znaczy... myślę, że moja mama się ucieszy na wieść, że Gerry wykonuje ważną pracę.

Brodacz wyraźnie się zasępił.

- Twój kuzyn ma dobrą, bezpieczną posadkę - powiedział.

- Jeśli to właśnie ceni twoja mama, na pewno będzie miała powód do radości.

- Lepiej mieć bezpieczną posadę niż być pozbawionym dobrej pracy - zauważył Bob.

- To zależy - odparł zjadliwym tonem mężczyzna. - Artyści inaczej patrzą na pewne sprawy.

- Co to znaczy: inaczej?

- No cóż, niektórzy z nas uważają, że człowiek tak utalentowany jak Gerry powinien tworzyć własne obrazy, a nie pilnować dzieł, które inni namalowali wieki temu. Nazywam się Edward Anson. Możesz powtórzyć kuzynowi moje słowa. Nie liczę na to, że zapadną mu w serce. Słyszał je kiedyś wielokrotnie, ale zawsze, kiedy pomyślę o talencie, który się

marnuje... po prostu ogarnia mnie furia.

- Naprawdę chce pan, bym powiedział to wszystko Gerry'emu? - spytał Bob. - No wie pan... ja go w ogóle nie znam. To znaczy, nigdy się nie spotkaliśmy. Gerry jest kuzynem mamy z drugiej linii, nie tworzymy bliskiej rodziny. Mogą mu się nie spodobać pańskie uwagi, przekazywane za pośrednictwem jakiegoś nieznanego małolata. Czy on jest... miły?

- Przepraszam - powiedział Edward Anson. - Nie chciałem się na tobie wyładowywać. Przypuszczam, że Gerry jest wystarczająco miły w zwykłych, codziennych sytuacjach. Możesz liczyć na to, że zachowa się właściwie. Prawdopodobnie weźmie wolny dzień i zabierze cię do Disneylandu. To niezbyt oryginalne, przyznaję. Ale on nigdy nie silił się na oryginalność. Był wielkim naśladowcą. Czy wiesz, że potrafił skopiować styl niemal każdego malarza?

Mężczyzna przerwał na chwilę.

- Niby skąd miałeś o tym wiedzieć. Nie znasz nawet Gerry'ego, prawda? W ogóle nie zwracaj uwagi na to, co mówię, jestem starym, zgryźliwym idealistą, który wierzy, że dla młodego artysty głód jest lepszy niż poczucie bezpieczeństwa. Pobudza do twórczego działania. - Mężczyzna uśmiechnął się. - Uciekaj i dzwoń do Gerry'ego, a kiedy już się z nim spotkasz, poproś, żeby czasem wpadł mnie odwiedzić.

- Dobrze, proszę pana - odparł Bob.

Był już przy drzwiach, kiedy mężczyzna powiedział:

- Kuzyn. Zabawne. Nie wiedziałem, że Gerry ma jakąś rodzinę. Nigdy o nikim nie wspominał. Zawsze wydawał się taki samowystarczalny i... zapięty na ostatni guzik.

- Każdy ma jakąś rodzinę - uśmiechnął się Bob.

- To prawda - powiedział wykładowca. - Ludzi nie produkują w fabrykach. Po prostu niektórych z trudem można sobie wyobrazić w relacjach z ojcem czy matką. Zadzwoń do Gerry'ego i baw się dobrze w Los Angeles. I pamiętaj: powiedz mu, żeby mnie odwiedził. Chciałbym porozmawiać z nim o jego pracy.

- Tak, proszę pana. Dziękuję - powtórzył Bob.

Chłopiec zszedł na dół, a potem wyszedł na zewnątrz budynku. Ulicą właśnie przejeżdżał autobus, więc Bob pobiegł, by go złapać. Usadowił się obok okna, przygotowany na długą drogę wzdłuż wybrzeża, i rozmyślał o rozmowie, którą właśnie odbył. Dowiedział się, że Malz ma talent, a ponadto opinię samowystarczalnego i zapiętego na ostatni guzik. Prawdopodobnie większą uwagę przywiązywał do bezpieczeństwa niż do sztuki. Powyższe opisy rozjaśniały obraz Malza, ale go nie zmieniały. Był bez wątpienia dokładnie tym, kim był: zdolnym kustoszem.

Bob westchnął ciężko. Jego poszukiwania nie przyniosły niczego, co wydałoby się podejrzanym. Zastanawiał się, czy Jupiter i Pete mieli więcej szczęścia. Jeśli nie, detektywi będą musieli spróbować inaczej podejść do sprawy. W ten czy inny sposób zdemaskują tego stracha.

ROZDZIAŁ 11

Strach na wróble uderza

- Co to ma znaczyć, że mnie sprawdzaliście? - dopytywał się Charles Woolley. - Jakim prawem? Powiedziałem wam o sobie wszystko, co mogło być wam potrzebne.

- Uznaliśmy, że lepiej za bardzo nie dowierzać ludziom, doktorze Woolley - powiedział Jupiter. - Zasięgaliliśmy informacji na temat każdego, kto naszym zdaniem mógł mieć coś wspólnego z prześladowaniem Letycji Radford.

Zapadał już zmrok. Jupiter, Pete i Bob spędzili popołudnie, omawiając całą sprawę i porównując notatki. Po kolacji pojechali do posiadłości Radforda, by porozmawiać ze swoim klientem. Znaleźli Woolleya w laboratorium. Naukowca ogarnął gniew, kiedy Pete wspomniał o wyprawie na Uniwersytet Kalifornijski.

- Na razie możemy powiedzieć, że żaden z domowników nie ma powodu, by straszyć Letycję, więc musimy szukać innych podejrzanych. Ktoś w końcu idzie na całego, choć akty okrucieństwa wymierzone przeciwko panie Radford wydają się bezpodstawne.

Woolley westchnął.

- To niezbyt mądra kobieta, często bywa niegrzeczna i denerwująca. Nie sądzę jednak, by kogoś celowo zraniła.

- Czy mogłaby to zrobić niechcący? - spytał Jupiter. - Kiedyś wspomniał pan, że Letycja była wielokrotnie zaręczona, lecz nigdy nie doszło do zawarcia małżeństwa. Może jakiś porzucony adorator pragnie się zemścić.

- Według pani Chumley to nie panna Radford porzuca mężczyzn, lecz oni ją - powiedział Woolley.

- Doprawdy? - zdziwił się Jupiter.

- Tak. Pani Chumley wspomniała poza tym, że brat Letycji opłacił kilku z jej narzeczonych, żeby zniknęli z horyzontu, gdyż byli nieodpowiednimi kandydatami dla osoby z wyższej sfery. Niektórzy okazali się po prostu poszukiwaczami przygód w najgorszym tego słowa znaczeniu: pragnęli jedynie pieniędzy bogatej panny i chętnie dali się przekupić. Sądzę też, że wielu mężczyzn w pewnym momencie miało jej zwyczajnie dosyć. Niełatwo z nią wytrzymać dłużej.

Jupiter pokiwał głową.

- Gdzie ona teraz przebywa?

- Obecnie w Beverly Hills, ale nie zabawi tam zbyt długo - powiedział Woolley. -

Zeszłej nocy Letycja uspokoiła się i uznała, że pająk, który przebiegł jej po nodze, zrobił to przez przypadek, nikt go celowo nie podrzucił. Pani Chumley namówiła ją, żeby wyjechała na kilka dni do Beverly Hills i zabawiła się trochę.

Dziś po południu poszedłem do dużego domu, by pożyczyć kawy. Pani Burroughs opowiedziała mi, że w hotelu Wilshire w Beverly Hills Letycja natknęła się na jedną ze swoich dawnych sympatii. Spotkanie tak ją przygnębiło, że zadzwoniła do domu i oznajmiła, że wieczorem wraca.

Pani Chumley próbowała wyperswadować jej ten pomysł, radziła zmienić hotel i zapomnieć o całym incydencie, ale bezskutecznie. Letycja uparła się, żeby przyjechać do domu.

Ledwo Woolley wypowiedział ostatnie słowa, chłopcy usłyszeli krzyk.

- Przyjechała! - zawołał Pete i ruszył do drzwi.

Jupe i Bob biegli tuż za nim z boczem wzgórza. Charles Woolley towarzyszył im, mrużąc coś ze złością.

Było już prawie całkiem ciemno. Krzyk nie ustawał. Letycja Radford przestraszyła się chyba bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

- Nie! - wrzeszczała. - Proszę, nie!

Krzyk przeszedł w gwałtowny płacz. Chłopcy ujrzeni w tym momencie, że z góry pędzi na nich przerażający strach na wróble.

Na tarasie zapłonęły światła i dzięki temu zobaczyli w przelocie jego twarz z przyklejonym do niej krzywym uśmiechem - twarz wykonaną z szorstkiego materiału, ściągniętego wokół szyi i zawiązanego sznurkiem. Poniżej ronda czarnego kapelusza złowieszczo lśniły czarne trójkąci oczu. Podobnie jak strach na płocie, ubrany był w starą sztruksową marynarkę, z rękawów której sterczały wiązki słomy. Na widok Woolleya i chłopców na chwilę stanął nieruchomo. Naukowiec zaczął ciężko dyszeć ze strachu. Strach na wróble trzymał w ręku kosę.

- Uważajcie! - krzyknął Pete.

Strach zarechotał, zamachnął się i kosa zatoczyła w powietrzu duży łuk. Po chwili uniósł swą odrażającą broń i zaatakował Trzech Detektywów.

- O, nie! - wydyszał Bob i rzucił się w bok, by uniknąć zetknięcia z zakrzywionym ostrzem.

Jupiter zaczął uciekać, ale potknął się i upadł. Zgiął się wpół, rękami objął głowę, by osłonić się przed atakiem szaleńca.

Pete stał w miejscu jak sparaliżowany. Trzonek kosy dotknął jego czoła. W chwilę

później leżał jak długi na ziemi, a strach na wróble, szeleszcząc słomą, rzucił się do ucieczki. Woolley odskoczył, by zejść mu z drogi.

Chłopcy usłyszeli, że stwór przebiega między eukaliptusami. Potem zapadła cisza.

- Pete, nic ci się nie stało? - dopytywał się Bob.

Pete usiadł powoli i potarł głowę.

- Nic. Nie zranił mnie poważnie. Po prostu... nie zdążyłem usunąć mu się z drogi.

- Ten gałgan mógł cię zabić! - wykrzyknął Woolley.

- Posłuchajcie! - Jupiter skierował wzrok na szczyt wzgórza.

Letycja skomlała jak małe, zranione zwierzę. Przed domem Radforda zapłonęły światła. Chłopcy widzieli, że pan Burroughs i pani Chumley próbują uspokoić roztrzęsioną kobietę.

Trzej Detektywi dotarli do domu akurat w momencie, gdy pan Burroughs prowadził Letycję po schodach w stronę drzwi wejściowych. W holu siedziała z zaniepokojoną miną pani Chumley. Kabriolet Letycji ciągle stał na podjeździe, od strony kierowcy miał otwarte drzwi.

- To... to trzymało kosę! jak Śmierć! Chciało odciąć mi głowę! - zawodziła Letycja.

- Z pewnością nie miało takiego zamiaru - pocieszał ją Burroughs.

- Właśnie że miało, miało! Jupiter, Pete i Bob weszli do holu.

- Strach naprawdę trzymał w ręku kosę. Widzieliśmy ją - powiedział Jupiter.

- Mam już tego dość - oznajmiła pani Burroughs, wychodząc w przekrzywionym czepku z zaplecza domu. - Właśnie zadzwoniłam po policję.

- O Boże! - jęknęła pani Chumley.

- Doskonale! - zawołał Charles Woolley, który również pojawił się w holu. - Może teraz ich komendant zwróci nieco uwagi na tę sprawę.

- Chciałabym w to wierzyć - odparła pani Burroughs. Podeszła do Letycji i poprowadziła ją do salonu. - Chodź, panienko. Zaraz podam herbatkę. Proszę się nie denerwować. Widok tego potwora musiał panienkę zdrowo nastraszyć. Wyjrzałam przez okno i na własne oczy zobaczyłam straszdyło i ten wielki, obrzydliwy nóż w jego rękach.

Na zewnątrz rozległ się pisk opon. Jupiter odwrócił głowę i zobaczył światła samochodu, wtaczającego się na podjazd przed Muzeum Mosby'ego. Po chwili reflektory zgasły, z samochodu wysiadł jakiś mężczyzna i ruszył drogą w kierunku domu Radforda. Okazało się, że jest to Gerhart Malz.

- Co się dzieje? - zawołał. - Coś się stało?

- Strach na wróble - wyjaśnił Burroughs, schodząc do wejścia.

- Czekał na podjeździe, kiedy panna Letycja przyjechała do domu.

- Znowu to samo! - prychnął zde gustowany Malz.

- Proszę nie mówić tak, jakby nieszczęsna kobieta wymyśliła sobie to wszystko! - krzyknął Woolley. Łysina lśniła mu w świetle latarni, a oczy błyszczały. Bardziej niż kiedykolwiek przypominał dużą, inteligentną mrówkę. - Wszyscy widzieliśmy stracha. Był niebezpieczny. Ktoś z nas mógł zginąć.

Z oddali dobiegł dźwięk syreny.

- To policja. Nie byłam pewna, czy przyjadą. - Pani Burroughs odetchnęła. - Oficer, z którym rozmawiałam, miał wątpliwości, czy do zadań stróżów prawa należy łapanie stracha na wróble.

- Założę się, że przyjedzie tu również komendant Reynolds - stwierdził ponurym tonem Jupiter - i nasz widok nie wprawi go w euforię.

ROZDZIAŁ 12

Nocne czaty

Następnego dnia rano Trzej Detektywi spotkali się w Kwaterze Głównej w składzie złomu Jonesów. Zgodnie z przewidywaniami Jupitera, komendant Reynolds bardzo się zirytował, kiedy ubiegłej nocy zastał chłopców w posiadłości Radforda. Przypomnieli mu co prawda, że sam zasugerował Woolleyowi, by wyjaśniając sprawę stracha na wróble, skorzystał z usług Trzech Detektywów, ale szef policji pominął tę uwagę milczeniem. Komendant już wcześniej polecił chłopcom, by trzymali się z dala od kłopotów, i oto znowu znaleźli się w samym środku niebezpiecznych wydarzeń. Kazał im teraz wracać do domu i zapomnieć o strachu na wróble.

Komendant Reynolds rzecz jasna mógł przewidzieć, że ani Jupiter, ani Pete i Bob nie porzucą ciekawej sprawy.

- Lepiej jednak bądźmy ostrożni - powiedział Jupiter do przyjaciół. - Komendant naprawdę narobi zamieszania, jeśli znowu zobaczy nas u Radforda.

- Po zdarzeniach ubiegłej nocy będę niezwykle ostrożny - oświadczył Pete.

- Byłeś najbardziej poszkodowany ze wszystkich, oczywiście z wyjątkiem Letycji - przyznał Bob. - Przynajmniej teraz będzie jej łatwiej. Domownicy już wiedzą, że nie wymyśliła sobie żywego stracha na wróble.

Jupiter pokiwał głową.

- Tak, nie ma nic gorszego od sytuacji, kiedy nikt nie wierzy w to, co mówisz. Wystarczy, by doprowadzić człowieka do załamania nerwowego. - Pierwszy Detektyw usiadł za biurkiem w maleńkim biurze, mieszczącym się w Kwaterze Głównej, i zaczął skubać wargę, co oznaczało, że myśli intensywnie. - No cóż, wielu z nas widziało ubiegłej nocy stracha. To oznacza, że możemy zacząć eliminować podejrzanych. Woolley był z nami. Pani Burroughs powiedziała, że zobaczyła stracha przez okno. Jej mąż i pani Chumley byli w tym czasie w domu. Pozostaje nam więc Gerhart Malz.

- Kurczę, on mógłby być strachem - stwierdził Bob. - Powiedzmy, że zostawił zaparkowany samochód na Kamiennym Brzegu. Kiedy nastraszył już Letycję, miał czas, by pobiec do wozu, pozbyć się ekwipunku stracha na wróble, a potem wrócić do muzeum przed przyjazdem policji.

- Możliwe - przyznał Jupiter. - Malz od początku wiedział, że Letycja boi się strachów na wróble i robaków. Mógł się również dowiedzieć, że wcześniej wraca z Beverly Hills.

Nie zapominajmy jednak o naszym tajemniczym, nieznanym obserwatorze, którego goniliśmy na polu kukurydzy. Prawdopodobnie od jakiegoś czasu śledził posiadłość Radforda, ukryty w starym domu na Skalistym Brzegu. Z powodzeniem mógłby być strachem. Nie dowiemy się jednak, czy mamy rację, dopóki nie schwytamy go na gorącym uczynku.

- Nie mam ochoty kogokolwiek na czymkolwiek chwycić. - Pete poczuł, że przebiegły go dreszcze. - Po tym, co się stało ubiegłej nocy?

- Należy zachować ostrożność, ale musimy ścigać stracha - oznajmił kategorycznie Jupe. - Tylko my jesteśmy skłonni to robić. Policja na razie się do tego nie miesza. Poza tym wiemy o strachu na wróble parę rzeczy, które mogą nam pomóc w rozwiązaniu zagadki.

- Wiemy, że umie wymachiwać kosą! - zawołał Pete. - Co poza tym?

- Zawsze pojawia się o zmroku - powiedział Jupiter. - Przynajmniej Letycja za każdym razem widziała go o tej porze, kiedy trudno cokolwiek wyraźnie zobaczyć.

- Domyślam się, że szykuje się zasadzka - stwierdził Bob.

- Masz całkowitą rację - odparł Jupiter. - Dziś wieczorem, nim zapadną ciemności, pojedziemy do domu Radforda, zaczaiemy się tam, będziemy czekać i obserwować, co się dzieje.

- A jeśli nic się nie wydarzy? - zapytał Bob.

- Wrócimy ponownie jutro w nocy.

- Załóżmy, że jednak coś się stanie. - Głos Pete'a drżał lekko. - Że nadejdzie strach. Co wtedy?

- Nie pozwolimy, by znikł nam z oczu. Będziemy śledzić, dokąd idzie - oznajmił Jupiter. - Posłuchajcie, co wymyśliłem. Weźmiemy ze sobą walkie-talkie, byśmy mogli się kontaktować. Ty, Bob, zajmiesz się obserwacją Muzeum Mosby'ego. Gerhart Malz jest teraz podejrzanym numer jeden. Pete ukryje się w pobliżu starego domu przy Kamiennym Brzegu. Ja będę patrolował posiadłość Radforda.

- Dobrze. - Pete westchnął głęboko. - Pójdę tam. Bez entuzjazmu, ale pójdę.

Obawy nie opuściły Pete'a również wieczorem, kiedy wraz z pozostałymi detektywami chował swój rower w krzakach, rosnących około pół kilometra od domu Radforda. Jupiter wręczył każdemu z chłopców walkie-talkie.

Pierwszy Detektyw sam zmagistrował w warsztacie te nadawczo-odbiorcze urządzenia. Przypominały CB radio; każdy zestaw składał się z głośnika i mikrofonu. Chłopcy nosili paski z przymocowanymi do nich miedzianymi drucikami i przewodem, który mógł być

podłączony do radia. Paski te wraz z drucikami spełniały rolę anten, dzięki którym informacje mogły być przekazywane na odległość kilometra, a nawet dalej. Jeśli któryś z chłopców pragnął powiedzieć coś do mikrofonu, wciskał odpowiedni guzik, a kiedy chciał posłuchać, co inni mają do przekazania, zwalniał przycisk.

- Gdy któryś z was zobaczy stracha, niech nie wchodzi mu w drogę - ostrzegł Jupiter, podczas gdy chłopcy podłączali swoje radia. - Po prostu nie spuszczaście go z oczu. W razie potrzeby użyjcie walkie-talkie.

W zapadającym zmierzchu zbliżali się do domu Radforda.

W pewnym momencie Pete ruszył na przełaj przez niczyj teren, graniczący z posiadłością Radforda, po czym przedzierając się przez porastające wzgórze zarośla, dotarł do starego domu przy Kamiennym Brzegu.

Przystanął i rozejrzał się. Pokryta koleinami droga była pusta. Chłopiec nie zauważył w pobliżu żadnego zaparkowanego samochodu. Opuszczony dom wyglądał ponuro. Jeżyny i dzikie wino pięły się po ścianach; wokół frontowych schodów pieniało się zielsko.

Słońce już zachodziło, kiedy Pete znalazł kryjówkę w krzakach nie opodal podjazdu.

- Gdzie jesteś, Pete? - usłyszał przez walkie-talkie głos Jupe'a.

Pete wcisnął guzik w swoim radiu.

- Siedzę w krzakach w pobliżu starego domu - zrelacjonował pospiesznie. - Na razie oprócz mnie nikogo tu nie ma.

- W porządku - powiedział Jupe. - Czekaj i patrz, co się będzie działo. Bob, nie widzę cię.

W radiu coś kliknęło.

- Stoję za domem Mosby'ego - odezwał się Bob.

- W porządku. Robi się coraz ciemniej. Bądźcie czujni i korzystajcie z walkie-talkie tylko w razie nagłej potrzeby.

Głos w radiu umilkł. Zapanowała cisza. Pete usiadł na ziemi i podciągnął kolana pod brodę. Czekał i nasłuchiwał. Z początku niczego nie słyszał. Potem dobiegł go słaby odgłos silnika samochodu, mozolnie pokonującego pochyłą drogę. Auto nadjeżdżało od strony wybrzeża.

Pete spał się. Dębowym Kanionem często przejeżdżały samochody. Któryś mógł się kierować ku grani, by się przedostać na drugą stronę do Doliny San Fernando.

A jeśli skręci w Kamienny Brzeg?

Silnik zaczął pracować inaczej, tak jakby kierowca zredukował bieg. Pete uznał, że nadjeżdża ciężarówka. Usłyszał pisk resorów i zobaczył na drodze światła reflektorów.

Pojazd skręcił w Kamienny Brzeg.

Pete'owi wydawało się, że jaskrawe światła przenikają aż do jego kryjówki. Ciężarówka trzęsąc się i podskakując wtoczyła się na podjazd obok starego domu. Pete zorientował się, że kierowca wyłączył silnik i światła oraz zaciągnął ręczny hamulec. Potem otworzył drzwi szoferki i wysiadł. Po cichu udał się na tyły domu. Drugi Detektyw usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi, a po chwili zobaczył światełko, błyskające poprzez szpary zabitych deskami okien.

Kierowca ciężarówki poszedł prosto na górę. W nocnej ciszy rozległ się odgłos ciężkich kroków na gołej podłodze.

Pete przesunął się nieco za krzakami, by dojrzeć górne okna w tylnej ścianie domu, z których można było obserwować posesję Radforda. Początkowo były ciemne, lecz po chwili w jednym z nich zabłysnął ogień zapalniczki. W jego świetle mignęła chłopcu znużona, opalona twarz, z głębokimi bruzdami biegnącymi od nasady nosa po kąci ust. Mężczyzna zapalił papierosa. Pete dostrzegł chmurę siwych włosów na jego głowie. Zapalniczka zgasła i kompletna ciemność rozjaśniał jedynie żarzący się koniec papierosa.

Dygocząc w środku, Pete przekradł się chyłkiem między krzakami ku pozostawionej przez nieznanego ciężarowce. Wyprostował się dopiero wtedy, kiedy był pewien, że mężczyzna przebywający w starym domu nie zdoła go zobaczyć.

Co on chce obserwować? - zastanawiał się Pete. - Niewątpliwie dom Radforda, ale na czym dokładnie mu zależy? Czyżby miało się tam wydarzyć coś, co będzie dla obserwatora sygnałem, że ma przywdziać starą sztruksową marynarkę, obwiązać głowę jutowym workiem i nałożyć na nią czarny kapelusz stracha na wróble?

Pete chciał wezwać przez walkie-talkie Jupitera, ale zrezygnował z tego pomysłu. Wolał nie ryzykować najmniejszego nawet hałasu. Zamiast nadawać sygnał, pociągnął za rączkę drzwi ciężarówki. Otworzyły się bez trudu.

Początkowo w kompletnie czarnym wnętrzu pojazdu Pete niczego nie był w stanie dostrzec, ale po chwili, kiedy jego wzrok przywykł już do ciemności, zaczął rozróżniać pojedyncze kształty. Wyciągnął rękę i dotknął siatki, przymocowanej do metalowej obręczy. W środku były plastikowe przedmioty - chyba jakieś narzędzia z długimi trzonkami, przypominające grabie. Chłopiec poczuł silny smród chemikaliów.

Wsiadł do ciężarówki, macając wkoło rękami, i głęboko wciągnął nosem powietrze. Utrzymał się w nim intensywny zapach chloru. Narzędzia musiały służyć do czyszczenia basenów kąpielowych. Obserwator ze starego domu najwyraźniej był ich konserwatorem.

Pete uśmiechnął się krzywo. Odbyli szmat drogi, by dowiedzieć się czegoś o

małżeństwie Burroughsów, Gerharcie Malzu i nawet Woolleyu, który ich wynajął. Tymczasem nie przyszło im do głowy, by pomyśleć o pomocnikach, zatrudnionych u Radforda: o czyścicielu basenu i ogrodnikach. Dobrze znali rodzinę i któryś z nich mógł mieć jakiś powód, by nie darzyć sympatią Letycji Radford. Prawdopodobnie zachowała się wobec niego niegrzecznie, potraktowała władczo i opryskliwie. Właściciel starej ciężarówki mógł też być typem szaleńca, który uwielbia sprawiać ludziom cierpienie.

Gdyby Pete dostał w ręce przebranie stracha na wróble, miałby niepodważalny dowód.

Nagle chłopiec zamarł i mocno chwycił dłońmi bok ciężarówki. Pojazd ruszył!

- O nie - szepnął Pete.

Zrozpaczony, nie zastanawiając się, wygramolił się z tylnego siedzenia i pociągnął ręczny hamulec. Dźwignia została mu w dłoni. Wśliznął się za kierownicę i próbował kierować pojazdem, który coraz szybciej staczał się tyłem w stronę Kamiennego Brzegu. Chłopiec zaczął naciskać nożny hamulec, lecz pedał upadł na podłogę. W powietrzu rozniósł się ostry zapach płynu hamulcowego. Najwyraźniej zepsuł się jeden z cylindereków. Hamulce już nie działały. Pete zastanawiał się, czy zdołałby zatrzymać pojazd, hamując biegami. Manewr mógł się jednak nie udać, a ciężarówka z każdą chwilą zwiększała prędkość. Chłopiec musiał jak najszybciej ratować się ucieczką. Pchnął drzwi i biorąc głęboki oddech, wyskoczył z kabiny.

Upadł na ziemię, odbił się od niej parę razy i poturlał z boczem w stronę drogi. Opuszczona ciężarówka, trzeszcząc i kolebiąc się na boki, potoczyła się dalej. Pete wylądował w rowie. Uderzył głową o coś twardego, przed oczami pokazały mu się mroczki. Leżał potem nieruchomo, pozbawiony świadomości.

ROZDZIAŁ 13

Jupiter napotyka kłopoty

Księżyc wschodził już na niebie, kiedy Jupiter po raz czwarty okrążał powoli dom Radforda. Zatrzymał się na niewielkim wzniesieniu za posesją. Noc była ciepła, więc mimo lęku mieszkańców rezydencji przed strachem na wróble, zasłony w oknach nie były zaciągnięte i Pierwszy Detektyw mógł dokładnie obserwować oświetlone pomieszczenia. Zobaczył, że w kuchni urzęduje pani Burroughs, zajęta szorowaniem naczyń w zlewie. W niewielkim saloniku, znajdującym się po lewej stronie kuchni, grał telewizor. Niedbale rozparty w fotelu mąż pani Burroughs oglądał mecz baseballu.

W drugim saloniku, po prawej stronie, który należał do pani Chumley, dawna sekretarka pani Radford grała w szachy z Gerhartem Malzem. Jupiter zauważył, że kustosz uśmiechnął się, powiedział coś do pani Chumley i przesunął pionek na szachownicy. Starsza pani wyraźnie się skrzywiła. Pierwszy Detektyw domyślił się, że pan Malz wygrał partię.

Kustosz wstał i zapiął guziki marynarki. Usta ani przez moment mu się nie zamykały. Po kilku minutach opuścił pokój.

Pani Chumley przez krótką chwilę siedziała, wpatrując się w kopię obrazu Vermeera, po czym najwyraźniej wpadł jej do głowy jakiś pomysł, gdyż przemieściła się na wózku do przylegającej do saloniku sypialni, włączyła światło, podjechała do szafy i otworzyła duże podwójne drzwi. Jupiter dostrzegł rzędy ubrań na wieszakach i stosy pudełek na półkach zamontowanych powyżej pałaka na sukienki i płaszcze.

Nagle starsza pani obejrzała się i zerknęła na szyby, jakby poczuła, że ktoś z zewnątrz ją obserwuje. Zbliżyła się do okna i zaciągnęła zasłony, uniemożliwiając potencjalnemu intruzowi dalsze podglądanie.

Jupiter zachichotał cichutko i odszedł spod apartamentu pani Chumley, szerokim łukiem okrążając prawy narożnik domu. Pod sypialnią starszej pani znajdowała się piwnica. Od drzwi piwnicy prowadziła ścieżka, łącząca się z podjazdem. Jupiter domyślił się, że tędy wchodzi do domu dostawcy i pracownicy obsługi technicznej.

Pierwszy Detektyw przesunął się wzdłuż budynku, minął garaż na cztery samochody i dotarł do podjazdu, który rozwidlał się na dwie strony. Jupiter poszedł na lewo, a potem przeciął trawnik i znalazł się obok tarasu. Stąd znów mógł obserwować pomieszczenia dla służby. Pani Burroughs nadal stała nad zlewem w kuchni, a jej mąż oglądał mecz. Jupiter po schodkach wkradł się na taras i przycupnął za jakąś ogromną rośliną w doniczce. Wysokie

okna dużego salonu były otwarte. Chłopiec zerknął do środka i zobaczył siedzącą na kanapie Letycję Radford. Na stojącym przed nią stoliku do kawy rozłożona była plansza do gry w tryktraka. Naprzeciwko Letycji siedział wyprostowany na krześle Charles Woolley i ze skrzywioną miną bacznie przyglądał się pionkom. Światło lampy odbijało się od łysej głowy naukowca.

Po chwili do salonu zajrzał Gerhart Malz.

- O, widzę, że zakopaliście topór wojenny - usłyszał Jupiter słowa skierowane do pary graczy.

- Zjednoczyliśmy się przeciwko wspólnemu wrogowi - powiedział Woolley, nie podnosząc głowy znad planszy.

- Doskonale - odparł Malz. - Przyszedłem powiedzieć dobranoc. Przed wyjazdem na urlop muszę dokończyć kilka prac.

- Nie do wiary! Wybierasz się na urlop? - spytała Letycja Radford. - Co się stanie wtedy z kolekcją Mosby'ego?

- Przecież wiesz, Letycjo, że jak co roku przez dwa ostatnie tygodnie sierpnia muzeum będzie zamknięte. Jeden ze strażników zamieszka w tym czasie w wolnym pokoju na drugim piętrze i zostanie tam do mojego powrotu, by pilnować zbiorów.

- Rozumiem - powiedziała Letycja. - Pani Chumley z pewnością będzie tęsknić za tobą. Kiedy wyjeżdżasz?

- W piątek - odparł Malz. - jeszcze tu wpadnę przed wyjazdem.

Kustosz wyszedł z salonu, a Jupiter pospiesznie zbiegł po schodkach na trawnik. Poszedł do frontowego wyjścia i zobaczył, że Malz idzie w stronę muzeum.

Z pobliskich ciemności zza rogu gmachu muzeum wyłonił się Bob. W milczeniu pomachał dłonią koledze i ponownie skrył się w mroku.

Jupiter wrócił na taras. Zobaczył, że pani Chumley wjeżdża na wózku do dużego salonu. Na kolanach starszej pani leżało duże pudełko.

- Letycjo, kochanie - zwróciła się do panny Radford - kiedy skończysz grać, poukładamy fotografie.

- Co to za fotografie? - spytała Letycja.

- Twoje, moja droga - odparła pani Chumley. - Od dawna zamierzałam je uporządkować. Robiłam ci zdjęcia, odkąd wstąpiłaś do zuchów. Mam twoje podobizny z każdego okresu życia, dopóki nie zaczęłaś mieszkać głównie za granicą.

Pani Chumley zamyśliła się.

- Nie zrozum mnie źle, kochana - powiedziała. - To cudownie mieć cię w pobliżu, ale

czy nie powinnaś jednak być w Europie? Może dołączyłabyś do brata? O ile mi wiadomo, pływa teraz po Morzu Śródziemnym. Byłoby ci tam dobrze i nie musiałabyś się obawiać tego okropnego stracha na wróble. Chester zająłby się tobą.

- Doskonale pani wie, pani Chumley, że działam mojemu bratu na nerwy - odparła Letycja. - Poza tym nie dopuszczę, żeby ten... ten potwór wygonił mnie z mojego własnego domu.

- Oczywiście, kochanie - powiedziała szybko pani Chumley. Zdjęła pokrywkę pudła i zaczęła przeglądać fotografie.

Jupiter na palcach opuścił taras. Poczul się nieswojo. Wiązało się to ze sceną, która przed chwilą rozegrała się w salonie. Nim jednak Pierwszy Detektyw zrozumiał, co go tak zaniepokoiło, zauważył, że w cieniu eukaliptusowych drzew ktoś się porusza.

Serce chłopca zaczęło bić mocniej. To z pewnością strach na wróble. Malz znajdował się w muzeum, a wszyscy mieszkańcy domu Radforda bądź w salonie, bądź w służbowym skrzydle.

Pierwszy Detektyw wolno ruszył w stronę drzew. Kiedy podszedł bliżej, usłyszał trzask gałązek i szelest liści. Nocny łazik kierował się do stodoły.

Chłopiec zdążył się schować za drzewami akurat w chwili, gdy podejrzany osobnik wyszedł na otwartą przestrzeń. To rzeczywiście był strach na wróble. Nie oglądając się, parł śmiało ku wrotom stodoły. Przed wejściem jednak się zatrzymał.

Jupiter domyślił się, że intruz natknął się na mocną kłódkę. Nauczony doświadczeniem naukowiec podjął kroki, by zabezpieczyć laboratorium.

Strach na wróble burknął coś do siebie. Na dźwięk głosu dziwnego stwora Jupitera ogarnęła groza. Cofnął się odruchowo. Nastąpił na coś, co wysliznęło mu się spod nóg. Poczul ból w kostce i upadł prosto w kępę wrzosów.

Strach na wróble odwrócił się i po chwili ruszył w stronę chłopca. Jupiter przekręcił się na bok i uniół ręce, by uchronić twarz przed ciosem. W tym momencie potwór z przerażającym okrzykiem rzucił się na chłopca.

ROZDZIAŁ 14

Mrówki-mordercy

Jupiter przygotował się na cios. Buciory stracha znajdowały się tuż obok jego głowy. Prześladowca jednakże odbiegł nagle, rozgarniając krzaki i uschnięte liście. Jupiter został sam. Sam i nietknięty.

Drżąc na całym ciele przyklęknął i po omacku szukał walkie-talkie, które niechcący upuścił. Znalazł aparat i wcisnął umieszczony z boku guzik.

- Pete! Bob! - zawołał podnieconym głosem. - Był tu! Widziałem go! Czy mnie słyszycie?

Jupiter zwolnił przycisk. W aparacie rozległo się kliknięcie i odezwał się Bob.

- Gdzie jesteś? - spytał przyjaciela.

- Na wzgórzu w eukaliptusowym gaju - odparł Jupe. - Sądzę, że strach poszedł w stronę domu. Po kolejnym sygnale zgłosił się Pete.

- Z pewnością nie - powiedział nie swoim głosem Drugi Detektyw. - Obserwowałem innego podejrzanego osobnika, ale on nie jest strachem na wróble. To wykluczone. Dosłownie przed chwilą był jeszcze w starym domu. Potem musiał gonić zsuwającą się z boczem ciężarówkę. Właśnie odjechał. Chyba uznał, że tej nocy nic już nie wskóra.

- Masz numery rejestracyjne wozu? - spytał Bob.

- Nie - przyznał Pete. - Przykro mi, ale nie czułem się najlepiej.

- Coś ci się stało? - zaniepokoił się Jupiter.

- Nic takiego. Upadłem, to wszystko.

- Na wszelki wypadek miej oczy otwarte, gdyby strach pojawił się w twoim rejonie. A ty, Bob, obserwuj duży dom.

- Co zamierzasz zrobić? - spytał zaniepokojony Bob.

- Postaram się zorientować, dokąd poszedł strach na wróble - odparł Jupiter.

- Tylko uważaj - ostrzegł go Pete.

Jupiter naprawdę był ostrożny. Poruszał się w gaju eukaliptusowym tak cicho jak cień i próbował sobie wyobrazić, że to on jest strachem na wróble. Dokąd udałby się, gdyby coś go zaskoczyło i musiał szybko znaleźć kryjówkę?

Chłopiec nasłuchiwał. Nocną ciszę przerywało jedynie cykanie świerszczy. Jupe stał na skraju lasu, skąd miał doskonały widok na dom Radforda. Okna wychodzące na taras były jasno oświetlone. Ludzie znajdujący się wewnątrz nie robili niczego nadzwyczajnego:

grali w tryktraka i porządkowali fotografie. Jednakże gdzieś na wzgórzu, w ciemności, przyczał się tajemniczy przebieraniec - strach na wróble.

Jupiter z góry założył, że nie ukrył się on na polu kukurydzy. Strach poszedł całkiem gdzie indziej: w stronę otwartej przestrzeni za rezydencją. Jupiter ruszył tam, rozglądając się na prawo i lewo. Przebiegł skrajem dębowego lasu i ujrzał za nim niewielką, otoczoną płotem chatkę. Przycupnęła w niewielkiej niecce, więc niełatwo ją było zauważyć. Jupiter domyślił się, że jest to gościnny domek, zamieszkały teraz przez Woolleya.

Pierwszy Detektyw zastanawiał się przez chwilę, co robić. Czy strach ośmieliłby się wejść do prywatnych pomieszczeń Woolleya? Czy był tam teraz, obserwując, co się dzieje, i czekając, co zrobi Jupiter: wejdzie do środka czy przejdzie obok domku? Co zrobiłby potwór, gdyby Jupiter minął domek? Zaatakowałby chłopca? Uciekł w stronę Kamiennego Brzegu? A może strach znalazł już jakieś inne schronienie na porośniętym krzakami wzgórzu.

Jupiter powolutku zbliżył się do małej chatki. Ostrożnie wszedł na ganek, po czym uznał, że skradanie się jest zupełnie pozbawione sensu. Jeśli strach naprawdę jest wewnątrz, zdążył już zauważyć nadejście chłopca.

Jupe zapukał do drzwi. Postanowił zachowywać się tak, jakby przyszedł odwiedzić Woolleya.

- Doktorze! - zawołał. - To ja, Jupiter Jones! Ponownie zapukał, po czym chwycił gałkę i w tym momencie serce podeszło mu do gardła. Gałka od razu przekreśliła się i drzwi się otwały.

Czekał. Nic się nie działo, więc powiedział głośno:

- Zostawię dla niego wiadomość.

Znalazł na ścianie kontakt i zapalił światło.

Jupiter stał na progu niewielkiego, przytulnego saloniku. Umeblowany był w stylu rustykalnym, charakteru dodawał mu zrobiony z kamienia kominek. Po prawej stronie od wejścia znajdowała się kuchenka, a właściwie niewielka alkowa odgradzona blatem od pokoju.

W tym pomieszczeniu trudno byłoby komukolwiek się ukryć, Jupiter ruszył więc do drzwi, znajdujących się po drugiej stronie pokoju. Za drzwiami był niewielki hol, łazienka i sypialnia z dwoma łózkami. Nikt nie schował się w kabinie prysznicowej ani pod łózkami czy też za drzwiami lub w szafie. W domu nie było żywego ducha.

Zadowolony Jupiter chciał wrócić do saloniku, jednakże zatrzymał się w holu i zamarł. Przypomniał sobie plastyczny opis falującego strumienia drapieżnych mrówek, który jakiś czas temu przedstawił Charles Woolley.

Teraz chłopiec nie musiał już sobie niczego wyobrażać. Na własne oczy widział rzekę owadów, przelewającą się przez próg! Tysiące małych stworzeń maszerowało po podłodze w zdyscyplinowanych, budzących grozę kolumnach i wspinało się na meble. Jedno z krzeseł było już pokryte falującym dywanem mrówek.

Znowu przypomniał sobie słowa Woolleya.

- Potrafią zjeść wszystko, co żyje - mówił naukowiec.

- To niemądre - oświadczył na głos Jupiter. - Przecież nie mam do czynienia z niebezpiecznymi afrykańskimi mrówkami.

Po chwili uświadomił sobie jednak, że mrówki na wzgórzu utworzyły nową rasę, prawdopodobnie jakąś mutację. Nawet Woolley niewiele o nich wiedział. Nagle Pierwszy Detektyw wyobraził sobie, że mrówki wspinają się po nim, gryzą go kawałek po kawałku, zjadają żywcem.

Odwrócił się i ratował ucieczką do sypialni. Podbiegł do okna i próbował je otworzyć. Nawet nie drgnęło.

Ściągnął but i uniósł go, by cisnąć nim w szybę, lecz nagle opuścił rękę. Nic by to nie pomogło. Nie zauważył wcześniej, że okna domku gościnnego są okratowane.

Chłopiec odwrócił się w stronę drzwi. Czoło nieustępliwej kolumny owadów było tuż obok wejścia do sypialni.

Jupiter znalazł się w pułapce.

ROZDZIAŁ 15

Pożar

Rzeka mrówek rozlewała się po holu jak tłusta, kleista maź. Jupiter wcisnął przycisk walkie-talkie.

- Pete! Bob! - krzyknął. - Tu są miliony mrówek! W domku gościnnym. Szybko sprowadźcie Woolleya! Mrówki przelały się przez drzwi sypialni.

- Odbiór - powiedział Bob do aparatu.

- Pospieszcie się! Jestem w pułapce! - zawołał Jupiter.

Wskoczył na łóżko, podciągnął do góry dotykającą podłogi narzutę i zaczął krzyczeć do aparatu:

- Bob! Pete! Szybciej!

Fala mrówek rozlała się po całej podłodze. Były coraz bliżej chłopca.

Nagle Jupiter umilkł i wyteżył słuch. Usłyszał tupot nóg.

- Wielkie nieba! - zawołał Charles Wolley.

- Jupe! Gdzie jesteś? - krzyczał Bob.

- W sypialni! - odpowiedział Pierwszy Detektyw. - Możesz się pospieszyć?

Jupiter usłyszał głos pani Burroughs, głośno pomstującej na małe, wstrętne stworzenia, a potem jej męża, który kazał żonie odsunąć się na bok. Ktoś zabębnił w okno sypialni.

Jupiter przestał się przyglądać mrówkom i zobaczył, że przez kraty patrzy na niego Pete. Obok Pete'a stał Bob i usiłował podważyć ramę, by otworzyć okno.

- Nie da rady! - krzyknął Jupiter. - Musiała przyschnąć farba.

Przy ścianie domku pojawili się Burroughs i Woolley. Bob odsunął się, by zrobić im miejsce. Naukowiec trzymał w garści kamień, którym cisnął między pręty, rozbijając szybę.

- Trzymaj! - Rzucił Jupiterowi pojemnik ze sprayem na owady. - Rozpyl go szybko i podejdź do okna.

- Obok okna jest rygiel - dodał Burroughs. - Służy do odczepiania krat. Zdejmujemy je i będziesz mógł wydostać się z pokoju.

Pierwsze mrówki wdrapywały się już po nogach łóżka, jednakże podłoga nie była całkowicie pokryta tymi owadami. Jupiter z furią rozpylał płyn, kierując owadobójczy środek na miejsca w pobliżu łóżka. Zszedł na podłogę, miażdżąc mrówki, które znalazły się pod jego stopami. Zadrżał, ale systematycznie, kawałek po kawałku, torował sobie przejście do okna.

W końcu musiał stąpać po rozbitym szkle.

- Gdzie jest ten rygiel? - Dzikim spojrzeniem omiatał całą ścianę. - W ogóle go nie widzę.

- Odsuń od ściany tę małą komódkę z szufladami, wtedy go zobaczysz - powiedział Burroughs.

Jupiter pociągnął gwałtownym ruchem komódkę, pod której ciężarem zginęły zmiażdżone kolejne mrówki.

Rygiel był to prosty stalowy pręt, przechodzący przez ścianę i blokujący kraty na zewnątrz. W pręcie była dziura, w którą był wetknięty bolec. Należało go teraz wyciągnąć.

- Udało się! - zawołał chłopiec.

- Nieźle - pochwalił Woolley. Wraz z Burroughsem zdjął kraty z okna i w chwilę później Jupiter był już na trawie przed domem.

Pani Burroughs zaczęła się kręcić wokół chłopca jak prawdziwa kwoka. Charles Woolley stanął przy oknie i zafascynowany przyglądał się mrówkom. Niemal w całości opanowały już łóżko, na którym schronił się wcześniej Jupiter.

Potem od strony dużego domu nadbiegła Letycja Radford. W świetle padającym z okna domku gościnnego widać było ściągnięte przerażeniem rysy jej twarzy. Trzymała za uchwyt jakiś kwadratowy pojemnik.

Jupiter zamrugał powiekami i nagle zorientował się, co kobieta zamierza zrobić.

- Panno Radford, proszę się powstrzymać! - krzyknął.

- Na bok! - wrzasnęła Letycja. - Nie podchodzić do mnie!

W głosie kobiety dźwięczały mordercze nuty. Zdążyła już ściągnąć wieko pojemnika i wykonała taki ruch, jakby chciała wylać jego zawartość na Jupitera.

- Letycjo! Proszę tego nie robić! - błagał Woolley. - Moje mrówki... Moje badania.... Proszę!

Letycja Radford spojrzała z pogardą na entomologa, po czym zaczęła polewać cieczą ganek i frontową ścianę gościnnego domku.

W powietrzu uniósł się zapach benzyny.

Letycja cisnęła puszkę przez rozbite okno do saloniku domku, prosto w sam środek kłębiącej się armii mrówek. Następnie wyjęła coś z kieszeni swetra.

- Letycjo, nie rób tego! - Woolley rzucił się w stronę zdeterminowanej kobiety.

Panna Radford potarła zapalką o brzeg pudełka i płonąca cisnęła na ścianę domku.

Rozległ się głośny syk. Ganek natychmiast stanął w płomieniach, które szybko przeniosły się do saloniku.

- Proszę bardzo! - krzyczała Letycja. - Ogień się z nimi upora. Mam już dość. Więcej nie zniosę.

Po tych słowach odwróciła się i pomaszerowała na wzgórze.

ROZDZIAŁ 16

Nocne strachy

- Dlaczego nie zanotowałem numerów rejestracyjnych tamtej ciężarówki? - jęczał Pete. - Głupio zrobiłem.

Następnego ranka po pożarze w posiadłości Radforda Trzej Detektywi siedzieli w biurze Kwatery Głównej i omawiali wydarzenia poprzedniego dnia.

- Konserwator basenu kąpielowego - powiedział Bob. - Skoro już wiemy, czym się zajmuje kierowca ciężarówki, bez trudu go odzyskamy.

- Może wcale nie będzie to konieczne - odparł Jupiter. - Pete, mówiłeś, że tylko na chwilę straciłeś świadomość, a kiedy doszedłeś do siebie, podejrzany mężczyzna biegł w stronę drogi, ścigając ciężarówkę.

Pete pokiwał głową.

- Dogonił ją, kiedy wpadła do rowu i zatrzymała się. Wtedy wsiadł do kabiny i szybko odjechał, nie zważając na brak hamulców.

- Czyli tajemniczy konserwator basenu nie jest strachem na wróble - oświadczył Jupiter - gdyż w tym samym czasie, kiedy biegł za swoim wozem, strach próbował się włamać do laboratorium doktora Woolleya.

- Wobec tego kto nim jest? - spytał Pete.

- Małżeństwo Burroughsów wyłączamy z grona podejrzanych - stwierdził Jupiter. - Widziałem ich w domu Radforda dosłownie chwilę przed tym, nim ujrzałem stracha. Nie wiadomo, co robił w tym czasie doktor Woolley, ale był za to z nami poprzednio, kiedy strach na wróble zaatakował nas kosą. Pozostaje Gerhart Malz. Z trudem jednak widzę go w roli nocnego napastnika.

Jupiter pochylił się i oparł łokcie o blat biurka.

- Możemy w kółko rozmawiać o tej sprawie i nie dojść do żadnych wniosków - powiedział. - Po prostu zbyt mało wiemy. Proponuję, abyśmy inaczej przymierzyli się do zagadnienia. Ofiarą ataków jest Letycja Radford. Do tej pory zdążyła już się otrząsnąć po szoku, który przeżyła minionej nocy. Sądzę, że powinniśmy ją wypytać o ludzi, którzy mogliby mieć powód, by ją nękać.

- Znowu wpadnie w histerię - ostrzegł Pete.

Bob zgodził się z przyjacielem.

- Panna Letycja uważa siebie za miłą, pełną powabu kobietę. Czy zdoła pogodzić się z

faktem, że ludzie jej nie lubią?

- Cóż, nic nie poradzimy na to, że istnieje przynajmniej jedna taka osoba, strach na wróble! - zauważył Jupiter. - Uważam, że musimy porozmawiać z panną Radford. Chodźmy do niej teraz, póki ciotka Matylda robi zakupy.

- Dobrze mówisz - poparł Jupe'a Pete. - Jeśli twoja ciotka nas tu zobaczy, od razu pogoni nas do roboty.

Wkrótce chłopcy jechali na rowerach nadbrzeżną szosą. Dotarli do domu Radforda i zadzwonili do drzwi. Otworzyła im Letycja, jak zwykle starannie ubrana, lecz blada i z podkrążonymi oczami.

- Uznaliśmy, że powinniśmy z panią porozmawiać - powiedział Jupiter.

- No cóż, skoro musicie... Jestem strasznie zmęczona. Komendant straży pożarnej siedział tu wczoraj do późna w nocy. Nie ukrywał, że jest na mnie zły. - Skrzywiła się. - Jego zdaniem są lepsze sposoby pozbywania się mrówek niż podpalanie domu.

Jupiter pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Całkowicie zgadzał się z komendantem.

- W każdym razie niewiele spałam. Pani Chumley źle się czuła zeszłej nocy. Od czasu do czasu ma napady bólu i nie lubi wtedy być sama. Dotrzymywałam jej towarzystwa. Prawdę mówiąc, byłam z nią przez cały czas aż do chwili, gdy rozległ się dzwonek u drzwi.

- Pozwoli pani, że ja posiedzę trochę przy pani Chumley? - zaproponował Bob. - Mogłaby pani złapać oddech.

Letycja uśmiechnęła się blado.

- To miło z twojej strony. Starsza pani przebywa w swoim saloniku. Zapukaj, zanim tam wejdiesz.

Bob skierował się na tyły domu, gdzie mieścił się apartament pani Chumley, a Letycja zaprowadziła pozostałych dwóch chłopców do dużego salonu. Usiadła na kanapie, gościom wskazała krzesła.

- Chcielibyśmy porozmawiać o ludziach, których pani zna - zaczął Jupiter. - Czy przychodzi pani na myśl ktoś, kto mógłby żywić do pani jakąś urazę?

- Urazę do mnie?

- Właśnie - powiedział Jupiter. - Co na przykład sądzi pani o Gerharcie Malzu?

- Nie bądź śmieszny! Gerry praktycznie jest członkiem rodziny. Poza tym obchodzą go jedynie obrazy,

- Może ktoś z pracowników ma do pani jakiś żal – podsunął Jupiter.

- Nie mówisz chyba o Burroughsach?

- Oczywiście, że nie. Jesteśmy całkiem pewni, że żadne z nich nie jest strachem na

wróble. Może jednak ktoś inny wpadnie pani na myśl? Na przykład ogrodnicy? Podobno przychodzą dwa razy w tygodniu. A konserwator basenu? Też zjawia się tu regularnie, prawda?

- Również dwa razy w tygodniu - odparła Letycja. - Dlaczego jednak miałby mieć coś przeciwko mnie? Prawie go nie znam. Z tego co wiem, studiuje na Uniwersytecie Kalifornijskim. To jeden z tych opalonych na brąz młodzieńców, którzy lubią prezentować wszystkim dokoła swój wspaniały tors.

- Konserwator basenu jest młodym człowiekiem? - Jupiter był wyraźnie zaskoczony.

- Oczywiście. Przecież powiedziałam, że studiuje, prawda?

Jupiter zmarszczył czoło i zaczął skubać dolną wargę.

- Nasza rozmowa do niczego nie prowadzi - stwierdziła Letycja. - To zresztą bez znaczenia, bo nie zamierzam tu dłużej zostać. Wracam do Europy. Strach na wróble... znów się pojawił ubiegłej nocy.

Jupiter i Pete popatrzyli na nią pytająco.

- Około północy - uściśliła. - Przebywałam w pokoju pani Chumley, światła były pogaszone. Zobaczyłam go na podjeździe. Pchał taczki w stronę garażu.

- Taczki? - powtórzył Jupiter. - Puste czy napelnione?

- Coś na nich było - powiedziała Letycja. - Może ziemia? W ciemności nie widziałam dokładnie.

- Wezwała pani kogoś? - spytał Jupiter.

- Nie. Dość już tego - stwierdziła smutnym tonem. - Jeśli rzeczywiście wariuję, od tej pory będę to robiła po cichu. Nie ma innej rady. Informowanie kogokolwiek prowadzi donikąd.

- Rozumiem - mruknął Jupiter.

- Nie znam też nikogo, kto mógłby żywić do mnie urazę. Musiałaby to być jakaś mocno zadawniona sprawa. Od lat prawie nie bywam w Los Angeles.

W progu drzwi łączących salon z jadalnią stanęła pani Burroughs.

- Przepraszam najmocniej, ale mój mąż jedzie właśnie do sklepu w Rocky Beach. Czy życzy sobie pani czegoś?

- Poproszę o aspirynę, jeśli można - odparła Letycja.

- Oczywiście, panno Radford.

Pani Burroughs wyszła, a Letycja podniosła się z kanapy.

- Zostaniecie przez jakiś czas, chłopcy? - spytała. - Byłoby mi miło. Jakoś czuję się bezpieczniej w waszym towarzystwie.

- Oczywiście, że zostaniemy - odparł Jupiter. - A przy okazji, gdzie jest doktor Woolley?

- Od kiedy spaliłam domek gościnny, przeniósł się do stodoły - powiedziała Letycja. - Sądzę, że jest u siebie i odpoczywa. Chyba też to zrobię.

Ruszyła w stronę holu, po czym się zawahała.

- Poproszę panią Burroughs, by poszła ze mną na górę. Sama nie czuję się bezpieczna.

- Dobry pomysł - przyznał Jupiter. Letycja poszła do kuchni, skąd po chwili dobiegły serdeczne okrzyki służącej. Obie panie udały się schodami na piętro. Jupiter zbliżył się do frontowego okna i zobaczył czarnego buicka, jadącego Dębowym Kanionem.

- Burroughs wyruszył do miasta. Bardzo wolno jedzie - zauważył Jupiter.

W tym samym momencie nadszedł z holu Bob.

- Pani Chumley zasnęła - oznajmił. - Zażyła tabletkę przeciwbólową.

Zamilkł na chwilę.

- Zabawne. Nim zawiozłem ją na wózku do sypialni i pomogłem się położyć, opowiedziała mi o oryginale Vermeera, który wisi na piętrze w muzeum. Wspomniała także o kandelabrze i opisała, jak za każdym razem, kiedy szafkowy zegar, stojący na podeście, wybija godziny, wibrują jego kryształki.

- Skąd o tym wie? - zdziwił się Pete. - Przecież tam nie była, skoro nie może chodzić po schodach.

- Niewątpliwie od Gerharta Malza - odparł obojętnym tonem Jupiter. - Kustosza najwyraźniej fascynuje kandelabr. - Zamilkł na chwilę, zaświeciły mu się oczy. - Pani Chumley śpi, Letycja i pani Burroughs są na górze, a pan Burroughs w mieście. Droga wolna, chłopaki! Możemy zrobić to, od czego dawno powinniśmy byli zacząć.

- Co masz na myśli? - spytał Pet.

- Przeszukanie domu! - wyjaśnił Jupiter.

ROZDZIAŁ 17

Schwytani w pułapkę

Trzej Detektywi poruszali się cicho po dużym domu. Pamiętali, że na piętrze są panna Letycja Radford i pani Burroughs, a na parterze śpi pani Chumley. Ukradkiem otwierali kredensy i komody, zaglądali do szuflad, przesuwali dłońmi po wierzchu szaf.

W kuchni i spiżarni nie trafili na żaden ślad, który prowadziłby do zidentyfikowania stracha na wróble. Niewielki salonik w służbowym skrzydle był równie czysty, podobnie jak znajdujące się tam dwie sypialnie. W jednym z pokoi wisiały w szafie służbowe ubrania, jakieś sukienki, sportowe marynarki i kilka par spodni, jednakże nie było tam jutowego worka i czarnego kapelusza, w które przebierał się strach na wróble.

- Przecież już wiemy, że Burroughs nie jest strachem na wróble! - obruszył się Bob. - Dlaczego tracimy czas na te wszystkie przeszukiwania?

- Bo głupio byłoby tego nie zrobić - odparł Jupiter. - Dotychczas tak się martwiliśmy o samopoczucie Letycji Radford, że wcale nie byliśmy dokładni. Mniejsza z tym. Nie spodziewałem się tu znaleźć czegoś znaczącego. Chodźmy na dół.

Piwnica w dużym domu podzielona była na kilka pomieszczeń. Chłopcy trafili na piwniczkę z winem, boks, w którym stał piec akumulacyjny, kilka magazynków i warsztat. Jupiter zaprowadził kolegów w róg domu. Dokładnie w tym samym miejscu, tyle że na parterze, usytuowana była sypialnia pani Chumley. Poprzedniej nocy Pierwszy Detektyw zauważył, że drzwi z tej części piwnicy wychodzą wprost na trawnik.

- Widzicie? - Jupiter wskazał ślady opon na betonowej posadzce. - Tędy strach na wróble pchał taczkę na gumowych oponach. Załadowana była ziemią. Zauważyliście grudki błota na podłodze?

- Skąd on wziął tę ziemię? - zastanawiał się Bob.

Chłopcy odeszli od wychodzących na zewnątrz drzwi i ruszyli śladem opon z powrotem w głąb piwnicy. Porozsypywane kawałeczki gliny zaprowadziły ich do wąskiego korytarza, który biegł między nie używanym magazynem a pomieszczeniem z ciężkimi, grubymi drzwiami. Pete włączył światło i chłopcy dostrzegli pod sufitem zakurzone rury.

- Kiedyś musiano przechowywać tu mięso - zauważył Pete. - Pomieszczenie przypomina chłodnię w supermarkecie w Rocky Beach, tyle że jest mniejsze.

- Ten dom był świetny w czasach, kiedy rodzina Radfordów naprawdę w nim mieszkała - stwierdził Bob. - Nie każdy ma prywatną chłodnię!

Jupiter pokiwał głową, ale nie zwracał uwagi na Boba. Wyraźnie był zadowolony, jakby właśnie znalazł dokładnie to, czego się spodziewał. Wskazał ręką na koniec korytarza.

- Zobaczcie! Stąd pochodzi wywieziona ziemia.

Pete i Bob ze zdumieniem wpatrywali się w czarną dziurę w ścianie.

- Odkryliśmy tunel! - zawołał Pete. Jupiter wyjął z kieszeni latarkę.

- Znalazłem ją w którejś szufladzie w kuchni - wyjaśnił. - Uznałem, że może się przydać.

Włączył latarkę i skierował strumień światła w głąb tunelu.

- Hejku! Ale ktoś się napracował! - westchnął Bob. - Spójrzcie na belki wzmacniające sufit.

- Wygląda mi to na podkop - powiedział Pete. - Czyli tym się zajmował strach na wróble. Ale przecież... - przerwał skonsternowany.

- Przecież gdyby ktoś z zewnątrz nachodził cudzy dom, by wykopać tunel, z pewnością któryś z mieszkańców by go nakrył, prawda? - zauważył Jupiter.

- To znaczy, że strachem jest jeden z domowników - wywnioskował Pete. - Lub też ma z nim konszachty. Burroughs i jego żona!

- Wniosek wydaje się logiczny - powiedział Jupiter. - Możemy się domyślić, dokąd ten tunel prowadzi.

Dziura została zrobiona w tej ścianie domu, której okna wychodziły na Dębowy Kanion.

- Podkop prowadzi pod drogą do domu Mosby'ego - oznajmił niemal szeptem Bob. - Ktoś planuje włamanie do muzeum.

- Powinniśmy to sprawdzić - zaproponował Jupiter.

Skulony wszedł do tunelu, świecąc latarką na prawo i lewo.

Pozostali dwaj chłopcy ruszyli za nim w milczeniu. Ziemia tłumiła odgłos kroków. W miarę jak się posuwali, coraz bardziej czuć było stęchlizną. Wydawało się, że minęły godziny, kiedy Jupe przystanął. Drogę miał zamkniętą przez betonową ścianę. Dotknął jej. Była twarda, jeszcze nie naruszona.

- Piwnica domu Mosby'ego - wyszeptał. - Jedyne nie strzeżone miejsce. Wszędzie indziej pozakładane są alarmy antywłamaniowe.

Bob i Pete przytaknęli. Jupe wręczył latarkę Bobowi, który odwrócił się i poprowadził kolegów tunelem z powrotem do domu Radforda.

- Niesamowita sprawa! - zawołał Pete, kiedy wszyscy znaleźli się znowu w piwnicy dużego domu. - Wykopanie takiego tunelu musiało trwać dobrych parę miesięcy.

- Nareszcie wiemy, dlaczego strach usiłował wykurzyć z domu Letycję - powiedział Jupe. - Obawiał się, że może zejść do podziemi i odkryć tunel lub też po prostu którejś nocy zauważyć coś podejrzanego.

Bob wyłączył latarkę i chłopcy ruszyli korytarzem w stronę schodów.

- Teraz już rozumiem, dlaczego Burroughs jechał tak wolno do Rocky Beach - stwierdził Jupiter. - Bagażnik miał załadowany ziemią z tunelu, którą zamierzał stąd wywieźć.

Chłopcy doszli do nie używanej od dawna chłodni. Pete zatrzymał się i parę razy wciągnął nosem powietrze.

- Coś się pali - oznajmił.

Sięgnął do kontaktu przy drzwiach i włączył światło. Stara chłodnia pełna była dymu. W rogu pomieszczenia leżała sterta szmat i dwie puszki farby bez pokrywek.

- Ale cyrk! - zawołał Pete. - Ktoś zostawił tu kłęb powalanych farbą szmat. Zaczęły się kopać.

Przeszedł przez chłodnię i kopnął szmaty. Rozproszyły się na prawo i lewo, z wielu z nich skoczyły w górę płomienie.

- Uwaga! - krzyknął Bob. Rzucił się, by stłumić niewielki ogień, Jupiter pospieszył mu na pomoc.

Nagle z głębi korytarza dobiegł chłopców głośny, przeraźliwy śmiech. Obejrzeni się.

Strach na wróble wpatrywał się w nich z wymalowanym na twarzy grymasem. Wyglądał upiornie w świetle gołej żarówki, wiszącej pod sufitem. Na chwilę zamarł w bezruchu, po czym popchnął ciężkie drzwi, które zamknęły się z trzaskiem.

- Poczekaj! - Pete chwycił klamkę i pociągnął. Drzwi nawet nie drgnęły.

- Zatrzymaj się! Wracaj! - krzyczał Pete.

- Oszczędzaj płuca - powstrzymał go Jupiter. - Strach nas stąd nie wypuści. Na pewno nie teraz. A może nigdy!

ROZDZIAŁ 18

Wyswobodzeni

Bob obejrzał rygiel na wewnętrznej stronie drzwi.

- Na szczęście jest złamany! - zawołał.

- Moim zdaniem to nie żadne szczęście - powiedział Jupiter. - Strach zobaczył, że wchodzimy do tunelu, uznał, że zbyt dużo wiemy, i wyłamał rygiel. Potem zwabił nas tutaj, podpalając szmaty.

- Głupio, że daliśmy się nabrać, ale nie chciałem, by spalił się cały dom - stwierdził Pete.

- Właśnie na to liczył strach - zauważył Jupiter. - A ściągnął nas do chłodni, bo jest dobrze odizolowana od reszty pomieszczeń. Możemy do woli wrzeszczeć lub łomotać w drzwi, a i tak nikt nie usłyszy.

- Nawet gdybyśmy bębniłi w rury pod sufitem? - spytał Pete.

- Czyżby ten odgłos nie przeniósł się do innego pomieszczenia?

- Rury nie są połączone z resztą domu - powiedział Jupiter.

- Biegną po prostu do agregatu chłodniczego, który musi być gdzieś tu w pobliżu. Dudnienie w rurach usłyszałby tylko ktoś, kto znalazłby się akurat niedaleko piwnicy.

Pete usiadł na podłodze.

- Czy strach na wróble nie wypuści nas stąd?

- Kogoś zaniepokoi nasza nieobecność i zacznie nas szukać - oznajmił pewnym głosem Jupiter. - Zostawiliśmy na zewnątrz rowery, tuż obok samochodu panny Letycji. Musi je zauważyć.

- Sądzisz, że tu przyjdzie? - wyraził powątpiewanie Bob. - Do piwnicy, gdzie gnieźdzą się pająki?

- Nie, nie przyjdzie - odparł po krótkim namyśle Jupiter. - Nawet jeśli zobaczy rowery, pomyśli, że jesteśmy z doktorem Woolleyem. A jeżeli to Burroughs lub jego żona natrafią na nasze pojazdy... cóż, z pewnością nie możemy liczyć na ich pomoc.

Chłopcy siedzieli w milczeniu. Gęsta cisza przytłaczała ich, zdawała się tłumić myśli.

- Ciotka Matylda wpadnie na pomysł, gdzie jesteśmy - odezwał się w końcu Jupe. - Przyśle po nas Hansa lub Konrada. Może również zadzwoni do komendanta Reynoldsa, a on z pewnością domyśli się, że przebywamy w domu Radforda. Ale mogą upłynąć godziny...

Jupiter przerwał. Wszyscy Trzej Detektywi myśleli o tym samym: czy w chłodni nie

zabraknie powietrza, zanim ktokolwiek ich tam odnajdzie.

Czas włókł się niemiłosiernie, powoli mijała godzina za godziną. Jupiterowi zaczęło burczeć w brzuchu. Zastanawiał się, czy to zbliża się pora kolacji, czy też głód daje o sobie znać dlatego, że nie zjadł lunchu.

Nagle chłopcy poczuli, że dom zadrżał w posadach.

- Co to było? - spytał przerażony Pete i usiadł wyprostowany.

- Pewnie małe trzęsienie ziemi - odparł Bob.

- Tego brakowało - mruknął Pete, osuwając się na ścianę. - Jakby nie dość było, że siedzimy uwięzieni w pomieszczeniu pozbawionym dopływu powietrza, to jeszcze grozi nam pogrzebanie żywcem.

Nadal nic się nie działo. Czas płynął, minuty zamieniały się w godziny.

- Czy tylko mi się wydaje, czy zaczyna pachnieć stęchlizną? - spytał w końcu Bob.

- To niemożliwe - odparł Jupiter. - Jesteśmy tu dopiero od...

- Przerwał i na chwilę wstrzymał oddech. - Co to było? - wyszeptał.

Chłopcy zaczęli nasłuchiwać.

- Ktoś w coś uderza - stwierdził Pete. Wstał i podszedł do drzwi.

- Hop, hop! - krzyknął. - Jesteśmy tutaj.

Zaczął walić pięścią w drzwi.

Jupiter zdjął but, wstał i, nie chcąc męczyć rąk, uderzał nim o drzwi. Krzyczał przy tym najgłośniej, jak umiał, a koledzy mu pomagali.

W końcu ktoś otworzył drzwi chłodni. W progu stał wysoki mężczyzna z gęstymi, siwymi włosami. Miał cerę ogorzałą od słońca, w twarzy dwie głębokie bruzdy, biegnące od nosa do kąćków ust. Letycja Radford trzymała go kurczowo za ramię.

- Dzięki Bogu, że jesteście! - powiedział z ulgą. - Domyśliłem się, że gdzieś tu was znajdę. Widziałem, że przyjechaliście do tego domu, ale nie zauważyłem, byście go opuszczali.

Jupiter uśmiechnął się szeroko i wyszedł na korytarz.

- Tajemniczy obserwator okazał się pożyteczny.

- Jaki tajemniczy obserwator? - zdziwiła się Letycja Radford. - To jest po prostu Ben Agnier, nasz były konserwator basenu. Chciałabym, żeby mi ktoś powiedział, co tu się dzieje. Gdzie są Burrouhgsowie? Kiedy obudziłam się z drzemki, zobaczyłam, że wszyscy gdzieś się porozchodzili.

- Skoro Burroughs i jego żona odeszli, to znaczy, że skończyli tu już robotę - powiedział Jupiter, wskazując tunel na końcu korytarza.

- Czyli o to im chodziło. - Agnier pokiwał głową. - O podkop.

- Do domu Mosby'ego - dodał Jupiter.

Włączył latarkę i ruszył tunelem, a inni tuż za nim.

- Poczekajcie! - krzyknęła Letycja Radford. - Nie zostawiajcie mnie samej!

- To niech się pani pospieszy! - ponaglił pannę Radford Agnier.

Letycja popędziła za Bobem, który jako ostatni wszedł do tunelu.

Nie było powodu, by zachowywać środki ostrożności, jednakże nikt się nie odezwał ani słowem, dopóki nie dotarli do końca tunelu. Zobaczyli wielki otwór w betonowej ścianie, która odgradzała podziemne przejście od piwnic domu Mosby'ego. W powietrzu utrzymywał się gryzący odór.

- Użyli dynamitu - stwierdził Agnier. Na jego pociągłej, ogorzałej twarzy pojawił się srogi grymas.

- Oczywiście! - zawołał Jupiter. - Kiedy siedzieliśmy zamknięci, poczuliśmy eksplozję. Musiała mieć miejsce po piątej, kiedy strażnicy udali się do swoich domów.

Agnier wszedł przez otwór do podziemi domu Mosby'ego. Jupiter omiótł ściany światłem latarki, by mężczyzna mógł odnaleźć kontakt. Kiedy w piwnicy zrobiło się jasno, przybysze zobaczyli jakieś paki, kocioł centralnego ogrzewania oraz skomplikowaną maszynę, dzięki której w muzeum panowała niezmienna temperatura. Agnier i chłopcy szybko rozejrzeli się dokoła i w milczeniu poszli na górę. Błada jak płótno Letycja Radford nie opuszczała ich ani na krok.

- Panie Malz! - zawołał Jupiter, kiedy wszyscy znaleźli się w holu wejściowym.

Odpowiedziała mu cisza.

- Może nie było go w domu, kiedy nastąpiło włamanie - zasugerował Pete.

Przeszli przez pokoje na parterze, w których nic nie zostało naruszone. Przez cały czas nawoływali Malza, ale bezskutecznie.

Czy kustosz jest jeszcze w muzeum? Może zamknięto go gdzieś, podobnie jak chłopców, i pozostawiono, by się udusił lub umarł z głodu? Na myśl o takiej możliwości Jupiter poczuł ciarki na grzbiecie. Wykonawcy podkopu nie znali litości.

- Panie Malz! - krzyknął raz jeszcze Jupe i pobiegł schodami na górę.

Pokoje na pierwszym piętrze były doszczętnie ogołoczone ze wszystkich obrazów, które wisiały na ścianach. Zniknął Vermeer, dzieła Rembrandta, van Dycka i Rubensa. Podobny los spotkał inne stare flamandzkie płótna. Kroki przybyszów odbijały się echem od pustych ścian.

- W tych arcydziełach był majątek! - zawołał Jupiter. - Ukradli go.

Letycja Radford przyglądała się pustym, białym ścianom.

- Cała kolekcja obrazów Mosby'ego - szepnęła z niedowierzaniem. - I kto ją ukradł? Służący i kucharka? Wykopali tunel i... Czyli to Burroughs był w końcu strachem na wróble?

Z góry dobiegło jakieś dudnienie.

Jupiter nie zastanawiając się, popędził na drugie piętro, gdzie mieściła się pracownia Gerharta Malza i jego prywatne pokoje. Dudnienie nasilało się, w miarę jak chłopiec zbliżał się do tych pomieszczeń. Bob i Pete zdążyli go już dogonić. Jupiter wpadł do małej sypialni usytuowanej po lewej stronie schodów i otworzył drzwi szafy.

Tkwiał w niej zakneblowany, związany sznurem do bielizny Gerhart Malz.

- W porządku, panie Malz - uspokoił kustosza Jupe, klękając obok niego. - Zaraz pana oswobodzimy.

ROZDZIAŁ 19

Opowieść obserwatora

- Byłabym niezmiernie rada, gdyby ktoś zechciał mi łaskawie powiedzieć, co tu się właściwie dzieje.

Pani Chumley siedziała wyprostowana w inwalidzkim wózku, ściskając nerwowo dłońmi wełniany koc, który okrywał jej kolana. Wzrokiem pełnym zaciekawienia patrzyła na zebranych.

- Obawiałem się o pani bezpieczeństwo, pani Chumley - odparł Ben Agnier.

Wysoki mężczyzna usadowił się w fotelu w pokoju pani Chumley. Towarzyszyli mu Letycja Radford, Gerhart Malz oraz Trzej Detektywi. Do zebranych dobiegały odgłosy krzątania ze znajdującej się pod pokojem piwnicy. Kilku policjantów robiło zdjęcia i zabezpieczało dowody przestępstwa. Większa liczba stróżów prawa pracowała po drugiej stronie drogi, w domu Mosby'ego.

- Co się stało z Burroughsami? - dopytywała się pani Chumley. - Już pora na kolację, a dotąd nawet nie dostaliśmy herbaty.

- Nastawię czajnik - powiedziała Letycja, lecz nie ruszyła się z miejsca. Zajmowała niewielki fotel obok Bena Agniera i wpatrywała się w byłego pracownika z mieszaną ciekawości i podziwu.

- Obserwowałeś ten dom? - spytała. - Jaki ty jesteś sprytny.

Twarz Agniera pokryły rumieńce.

- No... niezupełnie. Po prostu niepokoiłem się o panią Chumley.

- To bardzo ładnie z twojej strony, Ben - odparła starsza pani.

- Skąd jednak wziął się niepokój o mnie?

- No cóż, nie lubiłem tych Burroughsów - odparł Ben Agnier.

- Wraz z ich przybyciem wszystko się zmieniło w tym domu.

- To prawda - przyznała pani Chumley. - Moim zdaniem na lepsze. Cóż to była za radość mieć znowu kompetentną służbę. Nawet sobie tego nie wyobrażasz, droga Letycjo. Odkąd zmarła twoja matka, z sześć lub siedem razy zmieniałam pary służących i żadna z nich się nie sprawdziła, dopiero Burroughsowie.

- Pani cenny duet okazał się parą złodziei - wtrącił Malz i opowiedział starszej pani o podkopie.

- Twierdzisz, że pracując tutaj, bez przerwy kopali tunel? - wykrzyknęła z

niedowierzaniem pani Chumley. - Doprawdy nie wiem, kiedy mogliby to robić.

- Najpewniej nocami, pani Chumley, kiedy pani spała - wyjaśnił Jupiter.

- Co za pomysł - westchnęła starsza pani. - Wobec tego kiedy oni spali, na Boga?

- Nie zawsze kopali nocą - powiedział Agnier. - Czasem zajmowali się tym za dnia.

Dlatego wyleciałem z pracy.

- Nic nie rozumiem - powiedziała pani Chumley. - Burroughs poinformował mnie, że postanowiłeś przejść na emeryturę. Kiedy się zwolniłeś, zatrudniliśmy nowego pracownika, młodego chłopaka.

- Burroughs mnie wylał - oświadczył Agnier. - Któregoś ranka zobaczyłem go, jak wychodził z piwnicy w roboczym ubraniu. Pchał przed sobą taczki napełnione ziemią. Lokaj z taczkami to niecodzienny widok, więc spytałem go, co się stało, a on wyjaśnił, że ściana w piwnicy zawaliła się w jednym miejscu i stąd ta ziemia.

Nie uwierzyłem mu. Byłem w piwnicy tego domu i żadna ze ścian nie miała zamiaru się zawalić. Kiedy powiedziałem o tym Burroughsowi, po prostu mnie stąd wyrzucił.

Pomyślałem sobie, że gdyby zamierzano pozbawić mnie posady, zajęłaby się tym pani Chumley, a nie Burroughs. Zadzwoiłem więc do frontowych drzwi, by dostać się do domu i wyjaśnić całą sprawę. Otworzyła mi pani Burroughs, informując, że pani Chumley śpi i nie wolno jej przeszkadzać. Ilekroć potem pragnąłem się z panią zobaczyć, zawsze stawała mi na drodze pani Burroughs.

Kiedy dzwoniłem, telefon odbierał jej mąż. Napisałem wiele listów, ale nie sądzę, by dotarły do pani.

Pani Chumley potrząsnęła głową.

- Wielkie nieba! - zawołała. - Praktycznie byłem więźniem pary złodziei. Mogli mnie zabić!

- Nie podejrzewałem ich o aż tak ostateczne zamiary, ale i bez tego dręczył mnie niepokój - powiedział Ben Agnier. - Zacząłem obserwować posesję ze starego domu przy Kamiennym Brzegu. Wpadałem tam każdego dnia i zostawałem dopóty, dopóki pani nie pojawiła się na tarasie. Jak długo wyglądała pani cało i zdrowo, byłem spokojny, że naprawdę wszystko jest w porządku.

Potem zjawił się ten łysy gość, który posadził kukurydzę, a mniej więcej w tym samym czasie wyleciał z roboty stary Jason Creel, od ponad dwudziestu lat zatrudniony tu jako ogrodnik.

- Sama go zwolniłam - wyjaśniła pani Chumley. - Biedny człowiek stał się opieszawy. Tak naprawdę nie musiał już pracować.

- Wiem o tym - odparł Agnier. - Przychodził tu jedynie z poczucia lojalności. Jednakże on również nie lubił Burroughsów.

Potem zjechała do domu panna Letycja i każdego dnia widziałem ją na tarasie. Pomyślałem, że obie panie jesteście strasznie osamotnione, odizolowane od zewnętrznego świata. Nie przychodził tu nikt poza panem, panie Malz, i tym gościem, który posadził kukurydzę.

- Czy ktoś o mnie wspominał? - spytał Charles Woolley, stając w drzwiach. - Odwiedziła mnie policja - obwieścił. - Opowiedziałem im, gdzie byłem przez cały dzień, i polecili mi przyjść tu i czekać razem z wami. Chyba woleli, bym nie wchodził im w drogę.

Proszę nie przerywać opowieści - skinął głową w stronę Bena Agniera.

- Właśnie zbliżałem się do końca - powiedział Agnier.

- Skoro tak się o nas obawiałeś, dlaczego nie przyszedłeś i nie porozmawiałeś, kiedy widziałeś nas na tarasie? - spytała Letycja Radford swojego byłego pracownika.

- Czuję się głupio - odparł Agnier. - Pewnego dnia chciałem przyjść i niemal wpadłem na tych chłopców - wskazał na Trzech Detektywów. - Przestraszyłem się, kiedy zaczęli mnie gonić.

- A co ze strachem na wróble? - spytała Letycja. - Co pomyślałeś na jego widok?

- Jedynym straszidłem, jakie kiedykolwiek widziałem, było to na płocie - oświadczył Agnier. - Jedno muszę przyznać - kontynuował - że byłem nawet rad, kiedy chłopcy zaczęli się tu kręcić. Dzięki wam - skinął im głową - kobiety miały kontakt ze światem. Zaniepokoiłem się więc, kiedy zobaczyłem, że przyszlście dziś wcześniej i nie opuściliście więcej domu. W momencie gdy Burroughs zaprowadził wasze rowery do garażu, zorientowałem się, że nie widziałem na tarasie panny Letycji i pani Chumley. Nadal obserwowałem dom i zobaczyłem, że Burroughs wyjechał i wrócił z wynajętą przyczepą kempingową.

Nie umiałem dociec, do czego służącemu może być potrzebna przyczepa, więc nie opuszczałem posterunku obserwacyjnego. Po kilku godzinach Burroughs i jego żona odjechali, ciągnąc za samochodem wyładowaną po brzegi przyczepę. Nie widziałem dokładnie, co wywozili, ale było tego wiele.

- Wiele milionów dolarów, ulokowanych w przepięknych obrazach! - zawołał Gerhart Malz.

- Zastanowiło mnie to wszystko - kończył swą opowieść Agnier. - Przyszedłem na wzgórze do rezydencji. Drzwi były zamknięte, ale zbiłem szybę w jednym z okien, wychodzących na taras, i tą drogą dostałem się do środka.

- I obudziłeś mnie - dodała Letycja - a potem wspólnie obudziliśmy panią Chumley, lecz najpierw pomyśleliśmy o chłopcach. Nie mogliśmy ich znaleźć i wtedy Ben powiedział o piwnicy. Rzeczywiście tam byli, zamknięci w starej chłodni.

- Dzięki Bogu, że zajrzeliście na dół - stwierdził Jupiter. Wstał i podszedł do kominka, patrząc na ścianę powyżej jego obramowania. Wokół oprawionej w ramy kopii obrazu Vermeera były pasy nie spłowiałej tapety. - Prawdopodobnie zmusiliśmy Burroughsów do dzisiejszej akcji - oznajmił. - Skoro już zeszliśmy do piwnicy i zobaczyliśmy przekopany tunel, musieli usunąć nas z drogi i działać szybko.

Ktoś załomotał do drzwi. Do pokoju wkroczył komendant Reynolds.

- Moi ludzie szybko uporają się z pracą na dole - zapewnił. - Za chwilę prawdopodobnie zjawią się tu reporterzy. Mogę im sam złożyć oświadczenie, jeśli nie chcecie się z nimi spotkać.

- Bardzo pana o to proszę - powiedziała pani Chumley. - Letycjo, obiecałaś nastawić czajnik. Marzę o filiżance herbaty.

- Ja się tym zajmę, pani Chumley - zadeklarował Jupiter.

Podszedł do drzwi, przystanął, po czym opuścił pokój. Pete i Bob wymienili spojrzenia. Ich przyjaciel skubał dolną wargę.

Doskonale wiedzieli, co to oznacza. Przyszedł mu do głowy nowy pomysł i właśnie go rozważał.

Po chwili oczekiwania Pete wzruszył ramionami, a Bob cicho westchnął. Jupiter nigdy nie zdradzi, o czym myśli, dopóki pomysł całkowicie mu się nie skryształizuje.

ROZDZIAŁ 20

Jupiter wyciąga wnioski

Jupe usiadł przy kuchennym stole, czekając, aż zagotuje się woda w czajniku. Na stole stał aparat telefoniczny, podłączony do gniazdka umieszczonego obok drzwi do spiżarni. Obok aparatu leżała gazeta, otwarta na stronie z krzyżówką. Chłopiec podniósł ją i zobaczył pod spodem zarysowany bloczek.

Ktoś mazał na nim machinalnie różne esy-floresy. Narysował kilka serc przebitych strzałą, parę symboli, oznaczających dolarowe banknoty, parokrotnie też pojawiała się słowo "Vermeer".

Był również zanotowany numer telefonu.

- Taaak... - mruknął Jupe sam do siebie. Podniósł słuchawkę i nakręcił numer. Po dwóch sygnałach ktoś odebrał telefon.

- Agencja Przewozów i Wynajmu Przyczep - odezwał się męski głos. - W czym mogę pomóc?

- Już pan pomógł - odparł Jupiter i przerwał połączenie. Odłożył słuchawkę i spojrzał na zapis w rogu bloku. Ktoś zanotował słowa "Złote Runo" i "panam, rej."

Czajnik na kuchence zaczął gwizdać, ale Jupiter nie zwracał na to uwagi. Uśmiechał się uradowany i kartkował gazetę.

W progu kuchni pojawił się Bob.

- Woda się gotuje! Ogłuchłeś kompletnie czy co?

Jupiter nic nie odpowiedział, więc Bob podszedł do kuchenki i wyłączył palnik.

- Co się dzieje, Jupe? - spytał Pete, który również przyszedł do kuchni.

- Już wiem! - krzyknął Pierwszy Detektyw. - Komendancie!

Skoczył na równe nogi i rzucił się biegiem przed siebie, niemal zderzając się w drzwiach kuchni z komendantem Reynoldsem.

- Słucham? - powiedział szef policji.

- Proszę spojrzeć do notatnika! - Jupiter był tak podniecony, że drżały mu dłonie. - Widzi pan? "Złote Runo." Przeczytałem w gazecie, że jest to nazwa statku pod panamską banderą, który dziś wieczorem opuszcza San Pedro. Dokładnie piętnaście po dziewiątej, to znaczy za niecałą godzinę!

Komendant Reynolds schwycił notatnik.

- Gdzie go znalazłeś? - zapytał.

- Na stole, tuż obok telefonu. Zanotowany numer należy do agencji wynajmu przyczep.

Komendancie, ktokolwiek zamawiał tę przyczepę, siedział tutaj i właśnie stąd dzwonił. On, albo ona, zapisał również, że “Złote Runo” pływa na panamskiej rejestracji. Wiele statków tak robi. Burroughsowie wymyślili w ostatniej chwili plan, w jaki sposób wywieźć z kraju skradzione obrazy. Pojadą tam, dokąd płynie “Złote Runo”.

- A niech to! - zawołał komendant Reynolds.

- Musi pan zatrzymać ten statek! - krzyknął Jupiter. Komendant zadzwonił do centrali i poprosił, by natychmiast połączono go z kapitanem portu w San Pedro. Przedstawił się i rozkazał, by opóźniono wypłynięcie “Złotego Runa”.

- Będę w porcie za pół godziny - krzyczał do słuchawki - i proszę nie dopuścić, by ten statek wcześniej rzucił cumy!

Do kuchni wkroczył Gerhart Malz.

- Pani Chumley przysłała mnie, bym się zorientował, co się tutaj dzieje. Nigdy nie spotkałem kobiety tak spragnionej swojej popołudniowej herbaty.

- Jupiter za chwilę zajmie się herbatą - odparł komendant Reynolds. - Pana zaś poproszę ze mną.

- Słucham? - Malz był wyraźnie przestraszony.

- Pojedzie pan ze mną do portu w San Pedro. Jupiter sądzi, że nasi przestępcy są na pokładzie statku o nazwie “Złote Runo”. Prosiłem, by nie pozwolono mu wypłynąć z portu, zanim się tam zjawie. Pan będzie mi towarzyszył, by zidentyfikować skradzione płótna, jeżeli, oczywiście, naprawdę są na tym statku.

- Mój Boże - westchnął Malz.

- Czy my nie możemy także pojechać z wami? - zawołał Pete. - Lub chociaż tylko Juve? W końcu to on wpadł na ślad złodziei, prawda?

- Jeśli odzyskamy obrazy, jego pierwszego o tym zawiadomię - powiedział komendant Reynolds. - Chodźmy, panie Malz.

Szef policji ujął kustosza za ramię i popchnął go w stronę drzwi kuchennych.

- Do licha, to nie w porządku! - krzyknął Pete.

Jupiter nic nie powiedział. Ponownie nastawił czajnik i kiedy woda zawrzała, zaparzył herbatę. Bob wydobyl z szafki filiżanki i spodeczki oraz trochę małych ciasteczek, a Pete znalazł w lodówce talerz z kanapkami. Chłopcy umieścili wszystko na tacy i Pete zaniósł ją do pokoju pani Chumley.

- Nareszcie! - ucieszyła się starsza pani. - Po prostu umieram z głodu. Prawie nic

dzisiaj nie jadłyśmy, Letycjo.

- Nie jestem głodna - powiedziała panna Radford.

- A ja tak - oświadczyła pani Chumley. - Te małe ciasteczka wyglądają smakowicie. Poczęstuje się pan, panie Woolley? A ty, Ben? Może i wy spróbujecie, chłopcy. Gdzie jest Gerry Malz? Nie ma ochoty na herbatę?

- Pan kustosz i pan komendant Reynolds pojechali do San Pedro - oznajmił Jupe. - Chcą sprawdzić, czy Burroughsowie znajdują się na pokładzie statku o nazwie "Złote Runo".

Pani Chumley, która właśnie nalewała herbatę do filiżanki, przerwała tę czynność i odstawiła czajniczek na tacę, jakby nagle zadanie okazało się ponad jej siły.

- Sądzę, że podczas nieobecności komendanta możemy porozmawiać, pani Chumley - zaproponował Jupiter. - Opowie nam pani, jaki podział łupów uzgodniła pani z Burroughsami.

ROZDZIAŁ 21

Nieoczekiwana ucieczka

Letycja leżała wyciągnięta na kanapie naprzeciw pani Chumley. Po słowach Jupitera usiadła gwałtownie.

- Sądzę, że źle usłyszałam - zwróciła się do Jupitera. - Czy mógłbyś powtórzyć to, co powiedziałeś?

- Powiedziałem, że chciałbym się dowiedzieć, jaki podział skradzionych łupów uzgodnili między sobą Burroughsowie i pani Chumley. - Pierwszy Detektyw miał poważną minę.

Pete i Bob zajęli miejsca w pobliżu okna. Zapadał letni zmierzch, w pokoju zrobiło się ciemno, lecz nikt się nie ruszył, by zapalić światło.

- Tylko dzięki pani ta kradzież była możliwa - zwrócił się Jupiter do pani Chumley. - Nie zdarzyłyby się bez pani wiedzy.

- Jesteś impertynentem, młody człowieku! - oburzyła się starsza pani. - Porozmawiam z komendantem, kiedy tylko wróci. Doprowadzi do tego, że twoja stopa nigdy więcej nie stanie w tym domu.

- Niewykluczone - odrzekł Jupiter - lecz jest także inna możliwość. Burroughsowie przyznają się do winy i okaże się, że pani również jest wplątana w całą aferę.

- To doprawdy śmieszne! - Letycja wstała z kanapy i podeszła do starszej pani. - Dlaczego pani Chumley miałaby kraść? Przecież ma wszystko, czego potrzebuje. Jeśli sobie czegoś zażyczy, mój brat natychmiast jej to dostarczy. Razem tworzymy rodzinę. Tutaj jest jej dom.

- Uważaj, Jupiterze - ostrzegł Charles Woolley. Entomolog siedział dotąd spokojnie w odległym kącie pokoju. Teraz sięgnął dłonią do włącznika i zapalił lampę, stojącą na pobliskim stole. - Lepiej, żebyś miał mocne dowody na poparcie swojego oskarżenia.

- Chyba mam, i to kilka - odparł Pierwszy Detektyw. - Jak mogła pani przez ponad sześć miesięcy przebywać pod jednym dachem z ludźmi, którzy kopali w piwnicy tunel, i nic o tym nie wiedzieć? - zwrócił się do kobiety siedzącej na wózku inwalidzkim. - Naprawdę nie widziała ich pani przy pracy? Niczego pani nie słyszała? Przestępcy wywozili ziemię wydobytą z tunelu przez drzwi, które znajdują się dokładnie pod pani sypialnią.

- Śpię twardym snem - odparła pani Chumley.

- Nie zawsze. Ostatniej nocy zatrzymała pani przy sobie pannę Radford, gdyż

podobno nie mogła pani zasnąć. Lub tylko tak pani twierdziła, by zająć czymś Letycję.

Rano opowiedziała pani Bobowi o kandelabrze, stojącym w holu obok pokoju, w którym wisiał obraz Vermeera. Opisała pani, jak wibrują kryształki kandelabra, kiedy zegar na podeście wybija godziny. Pan Malz powiedział, że kandelabr jest nowym nabytkiem. Skoro, wedle pani zapewnień, nie wchodzi pani po schodach, to skąd pani o nim wie?

Pani Chumley była lekko zaniepokojona.

- No cóż... chyba Gerry mi o tym opowiedział.

- Przyjąłbym to wyjaśnienie, gdyby nie zdjęcia - powiedział Jupiter.

- Zdjęcia? - powtórzyła jak echo pani Chumley.

- Ostatniej nocy patrolowaliśmy okolicę, usiłując wytropić stracha na wróble. Nie zasłoniła pani wtedy okien. Widziałem, że grała pani w szachy z panem Malzem, a potem udała się do swojej sypialni, zgadza się?

- Pewnie tak zrobiłam. No i co z tego?

- Otworzyła pani szafę. Z miejsca, w którym stałem, widziałem stosy pudełek na górnej półce.

- Co dalej?

- Następnie zaciągnęła pani zasłony, więc nie widziałem, co pani robiła. Jednakże kilka minut później zjawiała się pani w salonie z dużym pudłem wypełnionym fotografiami.

Wczoraj nie zdążyłem o tym pomyśleć, bo prawie zaraz potem, jak je pani przyniosła pani Radford, zobaczyłem stracha na wróble. Jednakże dzisiaj, kiedy siedzieliśmy zamknięci na dole w chłodni, miałem aż nadto czasu, by się nad wszystkim zastanowić. W jaki sposób zdjęła pani pudło z górnej półki, pani Chumley?

Starsza pani zmarszczyła brwi, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć.

- Chyba posłużyłam się metalową miarką - odparła w końcu. - Trzymam ją w rogu szafy. Jeśli chcę coś ściągnąć z półki, podważam to tym prętem i chwytam, kiedy spada. Dzięki temu nie muszę za każdym razem prosić kogoś o pomoc.

- Nieprawda, w tym przypadku to niemożliwe. Zdjęcia są ciężkie. Uderzyłyby panią mocno, gdyby na panią spadły, a poza tym rozsypałyby się. Pani musiała wstać, pani Chumley, żeby zdjąć pudło z półki.

- Żartujesz chyba! - parsknęła pani Chumley. - Przecież od czasu wypadku nie mogę wstawać. Wszyscy o tym wiedzą.

- Wiedziała pani, jak bardzo panna Radford boi się strachów na wróble oraz owadów - ciągnął Juve. - Udawanie żywego stracha było pani pomysłem!

- To niemożliwe! - krzyknęła Letycja Radford.

- Nie tylko możliwe, lecz w dodatku całkiem logiczne - powiedział Jupiter. - Co więcej, pani Chumley przynajmniej raz sama przebrała się za stracha na wróble. To ona zamknęła nas w chłodni!

- Jesteś zuchwałym szczeniakiem - warknęła pani Chumley - i nie zamierzam dłużej słuchać twoich bredni. Idę spać.

- Proszę poczekać! - krzyknął Jupiter. - Jeszcze nie...

- Wystarczy, chłopcze - rzekł stanowczo doktor Woolley. - Wszystko, co nam tu opowiedziałeś, to tylko domysły i strzępki dowodów. Nie masz solidnych podstaw, by oskarżać o cokolwiek panią Chumley.

- Właśnie że mam! - powiedział Jupiter. - Na koniec zostawiłem najważniejszy dowód. Chce pani posłuchać, pani Chumley?

- Idź do diabła! - krzyknęła starsza pani. Obróciła wózek inwalidzki i ruszyła w stronę drzwi sypialni.

- Proszę poczekać! Pomogę pani - zawołała Letycja Radford.

Pani Chumley obejrzała się i popatrzyła na młodszą kobietę. Na twarzy Letycji malowała się troska, lecz również wątpliwość.

- Nie trzeba - odparła pani Chumley. - Sama sobie poradzę.

- Przecież pani wie, że to nieprawda - zawołała Letycja, ale pani Chumley już odjechała na wózku. Drzwi sypialni zamknęły się za nią z trzaskiem.

- Czy ona mogła zrobić te straszne rzeczy? - pytała Letycja. - Nie, to niemożliwe.

Panna Radford przerwała, gdyż w pokoju pani Chumley rozległ się straszny wrzask.

Pete zerwał się na równe nogi, gdy Jupiter już biegł w stronę sypialni. Zanim któryś z chłopców zdążył tam wejść, drzwi otworzyły się na oścież.

- Ty mała bestio! - wrzasnęła pani Chumley. Wstała z fotela i oddychała gwałtownie, na jej twarzy malowała się wściekłość. W ręku trzymała poduszkę. - Zrobiłeś to specjalnie!

Cisnęła poduszkę w Jupitera, który uskokzył na bok. Nim ktokolwiek zdążył się poruszyć, starsza pani wybiegła z pokoju. Drzwi salonu zatrasnęły się za nią. Potem wszyscy usłyszeli jeszcze trzask drzwi wyjściowych.

- Ona może chodzić! - krzyknął Ben Agnier. - Wcale nie jest kaleką.

Na zewnątrz rozległ się warkot uruchamianego silnika.

- O Boże! - zawołała Letycja Radford. - Zostawiłam kluczyki w stacyjce. Pani Chumley zawsze mnie besztowała i powtarzała... powtarzała, że któregoś dnia ktoś mi ukradnie samochód.

Charles Woolley parsknął urywanym śmiechem.

Pete zrobił ze dwa kroki w stronę sypialni. Tym razem on wrzasnął i wycofał się szybko.

- Doktorze Woolley! - zawołał. - Niech pan popatrzy!

Charles Woolley pospieszył do drzwi. Pozostali ludzie tłoczyli się za jego plecami i zerkali mu przez ramię.

Na podłodze sypialni pani Chumley roiły się tysiące mrówek. Nieprzebrany strumień owadów płynął od strony otwartego okna i maszerował dalej, przelewając się przez łóżko.

- Następna kolonia - powiedział Woolley pełnym zachwytu głosem. - Nie dziwię się, że starsza pani uciekła. Sam bym to zrobił na jej miejscu.

ROZDZIAŁ 22

Końcowa niespodzianka

Dochodziła północ, kiedy komendant Reynolds i Gerhart Malz wrócili do domu Radforda z informacją, że Burroughs i jego żona siedzą już w areszcie.

- Czy odzyskaliście wszystkie obrazy? - spytał Jupiter.

- Tak, mamy je - odparł Malz. - Tej nocy zostały pod strażą w San Pedro, a jutro wrócą do muzeum.

Kustosz ziewnął. Wyglądał jak człowiek bardzo wyczerpany.

- Gdzie jest pani Chumley? - zapytał jeszcze. - Czy położyła się spać?

Letycja Radford i Charles Woolley zdali mu sprawę z tego, co się zdarzyło podczas jego nieobecności. Opowiedzieli, że Jupiter oskarżył panią Chumley o udział w kradzieży obrazów, o mrówkach w jej sypialni, które entomolog unieszkodliwił płynem przeciwko owadom, i ucieczce starszej pani samochodem Letycji.

- Przekazaliśmy już dane o samochodzie - powiedział komendantowi Jupiter. - Daleko nie ujedzie.

- To znaczy, że ona nie jest kaleką? - zdziwił się Malz.

- Biega jak zając - wyjaśnił Pete.

- Dlaczego więc zachowywała się jak inwalidka? - nie mógł zrozumieć Malz. - Na tyle lat dobrowolnie przykuła się do wózka! Czy potrzebowała pieniędzy? - zwrócił się do Letycji.

- Raczej nie - odparła panna Radford. - Moja matka była bardzo hojna. Nikogo nie pominęła w testamencie, zwłaszcza zaś pani Chumley. A tymczasem to jednak ona była strachem na wróble. Czyż to nie okropne? W jej szafie znaleźliśmy przebranie. - Tym razem Letycja nie miała zamiaru płakać. Była wściekła. - Co za okrutna kobieta! Jak mogła tak ze mną postąpić, mimo że traktowałam ją jak rodzoną matkę!

- Sądzę, że poczuła się osaczona - wysunął przypuszczenie Jupiter. - Nie poznamy całej historii, dopóki jej nie złapią i nie przyzna się do wszystkiego, ale możemy się domyślić, co zaszło.

Jupiter usadowił się wygodniej na krześle i powoli zaczął opowieść, naświetlając kolejne szczegóły ostatnich wydarzeń.

- Po śmierci starszej pani Radford pani Chumley poczuła się zagrożona. Dalsze losy rezydencji stanęły pod znakiem zapytania, gdyż nikt nie miał powodu, by ją dłużej utrzymywać, ale tu właśnie był dom dawnej sekretarki. Niewątpliwie obawiała się, że będzie

zmuszona wynieść się stąd i zamieszkać w jakimś niewielkim mieszkanku w Los Angeles. Byłaby tam skazana na samotność, jako że miała chyba niewielu własnych przyjaciół. Przestałaby prowadzić tak wygodne życie, jak tu.

Potem miał miejsce wypadek. Pani Chumley złamała sobie kość biodrową. Wtedy przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Wszyscy słyszeliśmy o ludziach, którzy po mało groźnym wypadku samochodowym twierdzą, że nagłe szarpnięcie uszkodziło im kark. Kto zdołałby udowodnić, że ich cierpienie jest fikcją? Skoro pani Chumley upierała się, że nie jest w stanie chodzić, nikt nie próbował temu zaprzeczyć.

- Tak więc okłamała mojego brata, który zachował ten dom wyłącznie z uwagi na nią - powiedziała gorzkim tonem Letycja Radford. - A skoro właściciele przebywali daleko stąd, stała się głową domu, mając służbę na każde skinienie. Ależ musiała nienawidzić tych okresów, kiedy ja tu przyjeżdżałam!

- Sądzę, że specjalnie na to nie zważała, dopóki Burroughsowie nie zaczęli kopać tunelu - stwierdził Jupiter. - Pani obecność musiała im bardzo utrudniać pracę, dlatego więc próbowali panią stąd przepłoszyć, posługując się strachem na wróble i owadami.

Cudownym zbiegiem okoliczności cała trójka była prawie tego samego wzrostu, toteż mogli na zmianę przywdziewać kostium stracha i w ten sposób wzajemnie zapewniać sobie alibi.

Tej nocy, kiedy widzieliśmy stracha na wróble z kosą, pani Chumley i Burroughs byli z panią przed domem, więc pani Burroughs musiała odgrywać jego rolę. Uciekła nam w ciemności i skręciła na tyły domu. Dostała się do środka piwnicznym wejściem, ściągnęła łachy, szybko zadzwoniła na policję w Rocky Beach, a potem w przekrzywionym czepku pospieszyła do salonu. Twierdziła, że widziała za oknem stracha, więc założyliśmy, że przez cały czas była w domu.

- Jak jednak wyjaśnisz zdarzenia tej nocy, kiedy strach próbował ponownie włamać się do laboratorium Charlesa Woolleya? - spytał Bob. - Widzieliśmy go dokładnie wtedy, gdy pani Burroughs przebywała w kuchni, jej mąż oglądał telewizję w służbowym saloniku, a pani Chumley siedziała w dużym salonie wraz z panną Letycją.

- Prawdopodobnie Burroughs wcale nie oglądał telewizji - odparł Jupiter. - Zmajstrował kukłę, która przypominała z daleka mężczyznę siedzącego w fotelu. Burroughs wiedział, że każdy, kto przebywa w dużym salonie, może przez okna wychodzące na taras zobaczyć, co się dzieje w drugiej części domu, w pomieszczeniach dla służby, stąd pomysł z manekinem, który zapewnił mu alibi na czas, gdy on sam zajęty był kradzieżą mrówek z laboratorium Woolleya.

W chłodni natomiast zamknęła nas pani Chumley. Jej pokój mieści się na parterze i mogła usłyszeć nasze głosy w piwnicy. Niewykluczone jednak, że wyręczyła ją pani Burroughs. Nie ma to większego znaczenia, bo i tak obie były zamieszane w całą aferę.

- Przecież ona niczego nie potrzebowała - powiedziała Letycja Radford. - Dlaczego wynajęła parę złodziei, by ograbili muzeum?

- Moim zdaniem Burroughsowie pierwsi wpadli na pomysł kradzieży - odparł Jupe. - Zatrudnili się właśnie tutaj ze względu na bliskość Muzeum Mosby'ego. Musieli być zachwyceni, kiedy zobaczyli, że jedyną rezydentką domu jest inwalidka, która nie da rady zejść do piwnicy.

W pewnym momencie odkryli, że pani Chumley może chodzić, a ona z kolei zorientowała się, że jej służący kopią tunel. Wtedy doszli do porozumienia. Pani Chumley miała udawać, że nie wie, co się dzieje w piwnicy, a oni zobowiązali się przemilczeć fakt, że starsza pani od lat okłamywała rodzinę Radfordów. Kiedy pani się tu zjawiała, panno Radford, zdążyli już połączyć siły. Przeczuwali, że pani obecność stanowi dla nich zagrożenie, a nadawany w telewizji "Czarodziej z Oz" podsunął im pomysł ze strachem na wróble.

- Zdumiewające - wtrącił się Gerhart Malz.

- Trafił pan na godną pana przeciwniczkę, panie Malz - oznajmił Jupiter.

- Słucham? - zdziwił się Malz.

- Nigdy się pan nie zorientował, że pani Chumley nie była zadowolona z kopii Vermeera, którą wykonał student - powiedział Jupe. - Nie wiedział pan również, że pragnęła posiadać na własność oryginał.

Malz popatrzył na obraz wiszący nad kominkiem.

- To była część transakcji, którą zawarła z Burroughsami - ciągnął Jupe. - Miała im pozwolić zabrać z muzeum wszystkie obrazy, z wyjątkiem Vermeera. Jego dzieło chciała dostać sama.

- Wielkie nieba! - Malz zbliżył się do kominka i dokładniej obejrzał malowidło. - No jasne! - zawołał. - Ten obraz pochodzi z muzeum. Powinienem być od razu to poznać. Co w takim razie stało się z kopią?

- Została spalona - wyjaśnił Jupiter. - Znalazłem w kominku szczątki płótna. Włożyłem je do papierowego worka w kuchni. Ten obraz, który tu wisi, został dzisiaj zabrany z muzeum. Dziwne, że nie zauważył pan jego braku podczas identyfikacji skradzionych dzieł w porcie.

- Ja... byłem wytracony z równowagi - tłumaczył się Malz.

- Nieprawda - zaprzeczył Jupiter. - Zauważył pan ten obraz dziś wieczorem. Nie

mogło być inaczej. Fragment nie wyblakłej tapety wokół ramy jest absolutnym dowodem na to, że obraz został podmieniony. Właśnie to skierowało moje podejrzenia w stronę pani Chumley i przekonało, iż jest ona zamieszana w aferę kradzieży. Wiedziałem, że oryginalny Vermeer jest mniejszy niż kopia wykonana przez studenta. Skoro więc ten, który teraz wisiał nad kominkiem, nie pokrywał się z ciemniejszym fragmentem tapety, wywnioskowałem, że pani Chumley weszła w posiadanie arcydzieła z muzeum, co mogło się zdarzyć, tylko jeśli była współniczką Burroughsów.

Pan musiał zauważyć, że obraz nad kominkiem jest mniejszy niż ten, który tam poprzednio wisiał, panie Malz. Musiał pan również wiedzieć, że pochodzi on z muzealnej kolekcji. Jednakże nie pisał pan o tym ani słowem.

- Byłem zbyt poruszony kradzieżą, by cokolwiek zauważyć - bronił się Gerhart Malz.

- Przeciwnie - zaprotestował Jupiter. - Tuż po akcie kradzieży był pan nadzwyczaj spokojny. Ludzie, których związano, zakneblowano i zamknięto w szafie, zazwyczaj zachowują się o wiele bardziej nerwowo. Zacząłem się więc zastanawiać nad pańską osobą... i nad obrazami.

- Ja... byłem poruszony - powtórzył Malz.

- Po ucieczce pani Chumley dokładniej obejrzałem jej obraz. Płótno ciągle jest trochę lepkie. Farba nie zdążyła wyschnąć tak, jak na starych obrazach.

Pani Chumley nie zauważyła tego. Prawdopodobnie nigdy nie miała obrazu w ręku. A Burroughsowie zbyt się spieszyli, by zwrócić na to uwagę.

Pani Chumley ryzykowała wszystko, co miała, by zdobyć oryginalnego Vermeera. Być może zmęczyło ją życie w cudzym domu i dogłądanie czyjejś rodziny. W końcu chciała mieć coś dla siebie, coś, czego inni nie mają, jakieś dzieło najwyższej klasy. Trafił jej się jednak falsyfikat.

A skoro ona dostała skopiowany obraz, panie Malz czyż nie nasuwa się podejrzenie, że większość ze skradzionych dzisiaj obrazów to falsyfikaty? Wspaniałe kopie wykonane przez człowieka, który potrafi podrobić styl każdego malarza.

Jupiter zaczerpnął tchu i kontynuował opowieść.

- W piątek wybierał się pan na urlop. Moim zdaniem zamierzał pan zabrać ze sobą oryginały arcydzieł, a ich kopie pozostawić w muzeum. Po dzisiejszej kradzieży pragnął pan uniknąć szumu wokół kolekcji. Obawiał się pan zwrócić czyjąś uwagę na to, że na ścianie pokoju pani Chumley wisi mniejszy obraz niż poprzednio. Ktoś mógł zauważyć, że to tylko kopia, a nie oryginał.

Kiedy odzyskano skradzione przez Burroughsów obrazy, nie śmiał pan wspomnieć o

brakującym Vermeerze. Zaczęto by go szukać i ślady zaprowadziłyby do pokoju pani Chumley. Pan tymczasem planował powiesić z powrotem w muzeum oryginalnego Vermeera. Gdyby się to panu udało, nikt by się o niczym nie dowiedział. Nikt nie miałby powodu kwestionować autentyczności pozostałych skradzionych obrazów.

Nie miał pan jednak szczęścia. Teraz eksperci sprawdzą wszystkie obrazy. Zostanie pan zdemaskowany, panie Malz. Gdzie umieścił pan oryginały z kolekcji Mosby'ego? W apartamencie w Santa Monica?

Komendant Reynolds podszedł do obrazu wiszącego nad kominkiem. Dotknął płótna, obejrzał swoje palce, po czym zwrócił się do Malza:

- Postaram się o nakaz rewizji.

Malz popatrzył uważnie na Jupitera.

- Ty zgniłku - rzekł z pogardą.

Pierwszy Detektyw zignorował słowa kustosza.

- Co za ironia - powiedział. - Burroughsowie tak się namęczyli, by popełnić przestępstwo, wpadli w prawdziwe tarapaty, a jedyną nagrodą za ich wysiłek jest piękna kolekcja falsyfikatów. Skąd jednak mogli wiedzieć, że genialny fałszerz dzieł sztuki ich uprzedził?

ROZDZIAŁ 23

Pan Hitchcock czyta sprawozdanie

- Człowiek się uspokaja, kiedy widzi, że sprawiedliwość triumfuje - powiedział Alfred Hitchcock.

Sławny reżyser filmowy siedział w biurze nad otwartym sprawozdaniem, które Bob położył mu na biurku, i kiwał głową z aprobatą.

- Należą wam się gratulacje - powiedział do Trzech Detektywów. - Nie każdy wpadłby na pomysł, że dwie niezależne grupy kryminalistów w tym samym czasie szykują się do popełnienia tego samego przestępstwa. Oczywiście całkiem odmiennymi metodami. Nawet najwspanialszy podkop nie wytrzymuje porównania z fantastyczną robotą, jaką wykonał Gerhart Malz, kopiując arcydzieła z Muzeum Mosby'ego.

- Trudno było odróżnić oryginały od falsyfikatów - dodał Bob. - Teraz rozumiem, dlaczego muzea zastrzegają sobie, żeby studenci wykonywali kopie, różniące się rozmiarami od autentyków.

- Właśnie - powiedział pan Hitchcock. - Cieszę się, że mogę przeczytać sprawozdanie ze sprawy stracha na wróble. Wcale mnie nie dziwi, że zaangażowaliście się w wypadki, które rozegrały się w Muzeum Mosby'ego. Byłbym raczej zaskoczony, gdybyście przeoczyli tak poważne przestępstwo, popełnione w pobliżu Rocky Beach.

- Komendant Reynolds mówi, że mamy niezwykle talent do pakowania się w kłopoty - Bob uśmiechnął się szeroko.

- Wątpliwa zaleta - zauważył Alfred Hitchcock - ale bez niej życie byłoby nudne.

Sławny reżyser zamknął notatnik i oddał go Bobowi.

- Z radością wykorzystam tę nową historię w moim scenariuszu - oznajmił - jednakże przedtem chciałbym zadać wam kilka pytań. Jak, na przykład, Burroughsom udało się namówić angielskiego lorda, by wystawił im tak wspaniałe referencje?

- Nazwisko tej przestępczej pary wcale nie brzmi Burroughs, lecz Smith - wyjaśnił Jupiter.

- Niewiarygodne! - zdumiał się pan Hitchcock.

- Ale prawdziwe. Rzekomy Burroughs nazywa się Robert Smith, a jego żona Ewelina Smith, z domu Baldridge. Małżeństwo Smithów posługuje się wieloma fałszywymi nazwiskami. To znani nie tylko w kraju złodzieje o bogatej przeszłości.

Lecieli z Anglii samolotem wraz z inną parą małżeńską, noszącą nazwisko Burroughs.

Tamci rzeczywiście pracowali u lorda Armistona w charakterze kucharki i lokaja. Prawdziwi Burroughsowie zamierzali przejść na spoczynek i osiąść na Florydzie. W Nowym Jorku mieli przesiadkę. Smithowie doszli do wniosku, że podszywając się pod Burroughsów, mogliby otrzymać znakomite referencje od lorda Armistona, które pomogłyby im, gdyby kiedykolwiek chcieli się zatrudnić w dużej posiadłości. Zapisali nazwisko byłych służących lorda i pojechali do Los Angeles.

Prawdopodobnie zaczęli już układać plany ograbienia Muzeum Mosby'ego. Z pewnością nie stracili wiele czasu. Po przylocie z Anglii byli zarejestrowani w agencji zatrudnienia krócej niż tydzień. Policja sprawdziła kartoteki agencji i dowiedziała się, że para podająca się za małżeństwo Burroughsów odrzuciła kilka ofert pracy w domach, gdzie proponowano wyższe zarobki niż u Radfordów.

- Ale przecież mogli miesiącami, a nawet latami czekać, aż zwolni się tam miejsce - powiedział Hitchcock.

- Wtedy udaliby się do innego domu w okolicy Los Angeles - powiedział Jupe. - Burroughs, a raczej Smith, sporządził listę paru tuzinów miejsc, w których znajdowały się warte kradzieży klejnoty lub dzieła sztuki.

Pan Hitchcock westchnął.

- Niemądrze zrobił, trzymając przy sobie taką listę, ale wszyscy popełniamy głupstwa. A on już ryzykował. Przecież lord Armiston mógł otrzymać jakieś wieści od prawdziwych Burroughsów i zdziwić się, dlaczego agencja zatrudnienia zasięgała u niego informacji na ich temat.

- I tak się stało - rzekł Jupiter. - Lord Armiston skontaktował się z agencją dzień przed kradzieżą. Przedstawiciel agencji zatelefonował do pani Chumley i ostrzegł ją, że jej kucharka i lokaj mogą się okazać oszustami. Starsza pani odparła, że nie dba o to, gdyż od lat nie miała tak dobrych służących.

- Nieszczęsna kobieta - stwierdził Alfred Hitchcock. - Była całkowicie w ich mocy.

- Sama napytała sobie biedy, udając kalekę - stwierdził Jupiter - trudno jednak się nad nią nie litować. Została zatrzymana przez policję w Santa Barbara. W samochodzie zabrakło benzyny, więc usiłowała zastawić pierścionelek, by jej dokupić. Opuściła dom bez żadnych dokumentów i właściciel lombardu zaczął coś podejrzewać. Zatelefonował na posterunek.

- Co się stanie z panią Chumley? - spytał pan Hitchcock.

- Nie sądzę, by poszła do więzienia - powiedział Jupiter. - Na jej korzyść przemawia wiek i fakt, że nigdy przedtem nie była notowana. Letycja Radford opłaci jej adwokata. Ta kobieta jest może apodyktyczną i kapryśną, ale z pewnością nie mściwą osobą.

- Też tak uważam - zgodził się sławny reżyser. - W tej sytuacji zachowała się bardzo wielkodusznie.

- Spotkanie ze strachem na wróble najwyraźniej ją odmieniło - zauważył Jupiter. - Oznajmiła wszystkim, że nie wraca do Europy. Zamierza zostać w rezydencji przy Dębowym Kanionie, zatrudnić własnych służących i być prawdziwą panią domu. Rozważała nawet możliwość podjęcia pracy w charakterze wolontariuszki w centrum medycznym Uniwersytetu Kalifornijskiego.

- Krótko mówiąc, nareszcie dojrzała - skomentował Alfred Hitchcock.

- Jedno pozostało bez zmian - wtrącił Pete. - Nadal dostaje spazmów na widok pszczoły. Założę się, że nigdy nie przywyknie do owadów.

- Skoro o nich mowa, co słyhać u Charlesa Woolleya? - spytał reżyser.

- Stale przebywa na wzgórzu i prowadzi badania nad mrówkami - poinformował Jupiter. - A Ben Agnier znowu pracuje jako konserwator basenu kąpielowego.

- Doskonale - ucieszył się pan Hitchcock. - Brzmi to jak szczęśliwe zakończenie ciekawej historii, ciekawej i niezwyklej.

- Pan to powiedział - oświadczył Pete. - Nie pamiętam, byśmy kiedykolwiek przedtem wplątali się w aferę ze strachem na wróble, i mam nadzieję, że nigdy więcej nie będziemy mieć z nim do czynienia.

- Nie chodziło mi o stracha na wróble - zaprotestował sławny reżyser - lecz o to, że rzadko mieliście, chłopcy, tak wielką liczbę podejrzanych, i nigdy tylu z nich nie okazało się winowajcami!